

Rok VI.
Kraków, dnia 22 września 19.2 r.
Nr. 38.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Dom rodzinny.

Choćby twa chatka była ciasna i skromna; choćbyś w niej głową sięgał do powały; choćbyś, wchodząc do niej, musiał się w drzwiach pochylić, to nie mniej i zawsze będzie dla ciebie drogą, a może nawet droższą, aniżeli dla niejednego magnata obszerne pokoje i wspaniałe pałace. A gdyby cię z twojej chatki przeniesiono do komnat bogacza, to ucieszyłbyś chwilowo twe oko i zadowolił dumę, lecz wnet zatęskniłbyś za tą chatką rodzinną, w której ujrzałeś światło dzienne i w której matula uczyła cię pacierza.

Ciasny ten domek rodzinny, a jednak miły i drogi.

Idź do miasta, gdzie żyje tyle ludzi, którzy chaty swej nie mają, ale jak ptaki przelotne gnieżdżą się w cudzych, wynajętych mieszkaniach, a oni ci powiedzą, co znaczy brak własnej, rodzinnej chaty.

W miastach są wspaniałe i piękne kamienice, ale w nich serce czuje się smutne i obojętne, bo to wszystko, co nas otacza, cudze a nie nasze.

Obco nam i cudzo na każdym kroku i jakieś zimno dokoła nas się rozlewa a nierzadko łzą cichą oko się zrosi i żałosne westchnienie z piersi się wyrwie.

Jakże inaczej w domu rodzinnym! Gdziekolwiek wzrok rzucimy, wszystko nam znane, miłe i drogie. Z okien chaty rodzinnej widzimy chaty sąsiadów, w których mieszkają znajomi i krewni; widzimy kościółek, w którym otrzymaliśmy chrzest święty i w którym co niedzieli zasyłamy modły do Pana Wszechświata; widzimy szkółkę, gdzieśmy pierwsze słowa oświaty w dziecinstwie czerpali.

W domku rodzinnym upływały nam chwile szczęścia i błogości i w domu rodzinnym spływały z ócz naszych łzy smutku i boleści.

Do chaty rodzinnej człek sercem przyrasta, że trudno go od niej oderwać. A choć człowiek z domu rodzinnego w świat odejdzie, myślą zawsze wraca do niego i tęskni za nim i wzdycha do niego.

A gdy nam tak drogim jest ten domek rodzinny, jakże w nim czysto i schludnie być powinno?

Tak powinno być, ale czy jest, to inna rzecz!

Przejdźmy po naszych wiejskich chatach i popatrzmy, ile tam brudu i niechlujstwa! Na łóżkach barłóg, na ziemi śmiecie, na ścianach pajęczyna a wszędzie bród, że obrzydzenie człeka zbiera. — A w iluż chatach, w kącie izby mieści się drób, cielęta, albo i krowa. Pominąwszy już to, że umieszczanie zwierząt w izbie mieszkalnej jest wysoce niezdrowe dla człowieka, to przecież gnój i zaduch musi czynić ją wstrętną dla istoty ludzkiej.

A sprzęty? W iluż domach można je spotkać oblepione brudem, może od lat kilku, obsiędzione przez całe gromady much? W cebrach brudnych stoją całymi dniami pomyje i zanieczyszczają powietrze.

A przecież domek rodzinny, to kolebka pierwszych marzeń i wydarzeń życiowych, to przybytek tajemnic życia całego, to coś takiego drogiego i nieocenionego. A ponieważ ten dom rodzinny jest tak drogi i miły, więc czysty i schludny być powinien, aby był rzeczywistym rajem dla duszy ludzkiej.

Dlatego też zważać nam trzeba na ład i porządek w chacie rodzinnej, aby ona stała się nam jeszcze droższą i cenniejszą, niż była dotychczas, aby była prawdziwym przybytkiem spokoju i szczęścia naszego. Wszak do tego nie trzeba ani pracy wielkiej, ani wydatków żadnych, tylko nieco dobrych chęci i umiłowania czystości.

Dopilnowaniem porządku i czystości w chacie powinny zająć się przedewszystkiem dziewczęta, córki nasze, bo cały wstyd niechlujstwa na nie spadnie.

Bolesław Zygmunt Gnoiński.

ROK 1813.

Z dziejów wojska polskiego.

IV.

W dalszem postępowaniu polskiego korpusu nie ma nic ważniejszego do zanotowania, jak chyba tylko to, że w Piotrkowie, dnia 12 lutego, poczyniono zakup kilkudziesięciu koni, mających służyć później dla nowo zorganizowanych pułków polskich w Krakowie.

W Częstochowie naczelny wódz składa hołd Matce Boskiej na Jasnejgórze, przyczem, szepcząc gorącą modlitwę, łzy miał w oczach. Dnia 16 lutego, o 11-ej z rana, krótki tylko robiąc przystanek w Olkuszu, Poniatowski wprowadził wojsko do Krakowa. Tutaj od pierwszego dnia wódz polski zaczął gorączkowo dalszą organizacyę armii, wśród okropnych warunków, gdyż będąc okrążony Austryakami, gotującymi się do zrzucenia maski, narażony był na niebezpieczeństwo z jednej strony, z drugiej przez ścigających go Rosyan, a z trzeciej miał ustawiczne zmartwienie z powodu bardzo małej ilości nadciągających ochotników, gdyż część społeczeństwa polskiego przestała wierzyć w odrodzenie sławy Napoleona i zupełnie zrozpaczona opuściła ręce. Trudne do wyjścia położenie, z każdym dniem zwiększało się, a w drugiej połowie marca miało dojść do trudności ponad wszelki wyraz, teraz bowiem feldmarszałek Fridmont, dowodzący stojącym wtedy pod Krakowem trzecim korpusem austryackim, działając na wzór Szwarcenberga, rozpuścił pogłoskę, że Rosyanie okrążyli jego korpus i, że nie czując się w możności stawić im oporu, odstąpi za Wisłę, czem rzecz prosta, dalszy opór Poniatowskiego starał się uczynić niemożliwym.

Choć narazie kłamliwe te wieści nie przestraszyły doświadczonego już na Szwarcenbergu ks. Józefa, to jednak w rzeczy samej w początkach kwietnia 1813 r., nad granicą austryacką skoncentruje się kilkakrotnie liczniejsza armia rosyjska pod dowództwem Sackena, wzmocniona przez ciągłe posiłki z Rosyi, a dochodząca do 50.000 dobrze wyćwiczonego żołnierza, zachęconego pogromami armii francuskiej, a przytem posiadająca do takiej doskonałości doprowadzoną amunicyę, o jakiej Polacy, ani nawet Austryacy nie mogli marzyć; podczas bowiem, gdy biedny nasz naród, ogołocony prawie doszczętnie przez ustawiczne wojny, jeszcze ciągle dręczony i ze wszystkich stron skubany, nie mógł pomyśleć o bycie materyalnym, w Rosyi potworzyły się już ogromne kapitały, które bezustannie napływały do kas ich korpusów.

Miał wprawdzie pewne fundusze i Poniatowski, ale nie mógł nimi szafować zbytnio, gdyż trzeba je było zachować na mogącą wybić czarną godzinę.

Po usilnej, niezmordawanej pracy organizacyjnej, Poniatowski skojarzył czternastotysięczną armię, dwadzieścia armat i amunicyi zaledwie na kilka godzin dobrego ognia.

Z jakich pułków składało się ostatecznie wojsko polskie i jaka była ich numeracya, powiemy pod koniec opowiadania, gdyż armia polska do rozpoczęcia krwawych bitew, stoczonych z godną podziwu całego świata walecznością, choć bardzo powoli, to jednak ciągle wzrastała. Pomijam tu także w tej chwili o wojsku polskiem, zostawionem dla obrony Księstwa Warszawskiego i podkreślenia swej samoistności, które zamknęło się po twierdzach, a które też miało w przyszłości przeżyć niejedną ciężką chwilę.

* * *

W kwaterze komendanta twierdzy w Zamościu gwarno i ludno, od mandurów oficerskich bije łuna, słychać coraz to świeże skrzypnięcie drzwi i brzęk ostróg nowo wchodzących oficerów. To narada wojenna, która odbywa się w każdą sobotę o stanie fortecy i taktyce jej bronienia.

W olbrzymiej sali jedni spacerują, prowadząc ożywioną rozmowę, inni przeglądają plany fortecy i pobliskich okolic.

Na zegarze wieżowym wybiła godzina szósta wieczorem, czyli oznaczony termin oznaczony na zebranie się.

Echo tego dźwięku rozlegało się jeszcze, gdy do sali wszedł poważny komendant, generał Maurycy Hauke. Wnet gwar ucichł, żebyś i przelatującą muchę usłyszał, i wnet rozległ się głos dyżurnego oficera:

— Baczność, panowie oficerowie!

Wypowiedziawszy te słowa dyżurny, stanął przed generałem, poczem wyprężony jak struna, zaraportował:

— Objechawszy naszą fortecę i jej okolice w granicach oznaczonych, dyżurni: porucznik, feldfebel i kanonier z czwartego fortu, donieśli mi, że na drodze, prowadzącej ze Szczebrzeszyna, na trzeciej wiorście od fortecy, znaleźli zranionego w tył głowy i we krwi broczącego porucznika szóstego pułku ułanów, który jest nieprzytomny i znajduje się obecnie w szpitalu, w forcie Nr 2.

Bystre oczy komendanta jęły szybko poruszać się w swej oprawie, nic nie mówiąc, stał tak chwilę, jakby gromem rażony, wreszcie oprzytomniawszy, przemówił sam do siebie tonem, wyrażającym niepokój:

— Czy się czasem nie stało co złego z armią księcia Józefa, i czy ów oficer nie wiózł właśnie strasznej do mnie nowiny? — Tu zwrócił się do dyżurnego.

— Patrzajno, czy nie miał jakich papierów?

— Owszem, panie generale, lecz nic przy nim nie było, nie miał także żadnej broni — dodał zapytany.

— Muszę sam zobaczyć, co się święci — rzekł do obecnych podniesionym głosem komendant — a wobec tego posiedzenie na godzinę odkładam.

W szpitalu w forcie Nr 2, w oddzielnym pokoju, stoi tylko jedno łóżko, na którem leży znaleziony pod fortecą porucznik szóstego pułku ułanów. Do pokoju tego co chwilę wchodzi dyżurny felczer z siostrą miłosierdzia, śledząc stan zdrowia chorego, który bredzi w gorączce i dotąd nie odzyskał jeszcze przytomności.

— Boże! — mówi zakłopotana siostra Anna do felczera — czy aby mózg nie zajęty?

— Zdaje się, że nie — odrzekł przecząco doświadczony felczer — gorączka silna, co prawda, ale rana na głowie pokazuje, że nie jest świeża, chory musiał ją otrzymać wczoraj, albo najpóźniej dziś rano, a z tego można wnosić, iż jechał jeszcze na koniu, lub szedł piechotą przez parę godzin, jest tu zatem wyczerpanie sił, wywołane znaczną utratą krwi, tem bardziej, tak przypuszczać należy, gdyż czaszka nie jest pęknięta, lecz tylko mocno zadraśnięta, jak się zdaje, kulą karabinową.

— Tego samego zdania jest doktor — rzekła uspokojona siostra Anna.

Gdy taką rozmowę prowadzą ze sobą, w korytarzu dał się słyszeć brzęk ostróg, a po chwili drzwi

do pokoju, gdzie rozmawiali, otworzyły się i wszedł komendant fortecy, okrążony kilkoma oficerami z ordynującym doktorem Staniszewskim.

— No, jak tam chory? — zapytał Staniszewski felczera — czy nie odzyskał przytomności?

— Nie, panie doktorze, ani na chwilę — odrzekł zapytany.

Tu doktor, wziąwszy chorego za rękę, rzekł, zwracając się do komendanta:

— Puls znacznie lepszy, gorączka też mniejsza i spada widocznie, niezadługo odzyska przytomność, trzeba tylko dać organizmowi wypoczynek, przypuszczam, że nie upłynie godzina, a będzie się można z nim rozmówić.

— Ależ konieczna jest z nim, choćby taka rozmowa, jaka określiłaby, kto go przysłał do Zamościa, i po co, gdyż są już niektóre dane, że wiózł raport na koniu jakiegoś kozackiego oficera, który, widać, wyrzucił go z siodła, tylko zagadka, skąd wziął tego konia — zauważył komendant.

— Nie znam się dokładnie na umiejętności jazdy, ale to mogę śmiało zaopiniować, iż rana pochodzi nie od stłuczenia, lecz od kuli karabinowej — wtrącił znowu swoje zdanie doktor.

— Acha, rozumiem — rzekł, uderzając się palcem w czoło, komendant. — Wiózł raport zapewnie od księcia Józefa, w drodze został pochwycony przez nieprzyjaciela, o którym pewnie nie pzzypuszczał, że się może znajdować w tych stronach, a przez to wpadł w pułapkę! Następnie zaś udało mu się dosiąść konia kozackiego oficera, no i drapnął im. Stąd też wynika, że za uciekającym strzelano, przytem jedna z kul zawadziła go po głowie, że zaś to musi być rogata dusza, o tem wątpić nie należy, gdyż inaczej zwaliłby się zaraz z konia, a nie dopiero pod Zamościem.

Nie upłynęło i pięciu minut po tem wywnioskowaniu generała, chory poruszył się na posłaniu, poczem otworzzwszy oczy, wypowiedział pierwsze słowo, patrząc na otaczających, a biorąc ich widocznie za nieprzyjaciół:

— Oświadczam stanowczo, że wolę śmierć, niż zdawanie relacyi nieprzyjacielowi.. a szpiegu, psie podły, pamiętaj, że jeżeli żyw stąd wyjdę, to cię wszędzie znajdę.

Po tych słowach chory znów stracił przytomność.

Jeden z oficerów pośpiesznie zanotował na kartce papieru słyszane słowa, następnie zaś generał i jego świta zadowoleni tem oświadczeniem rannego, opuścili szpital, wracając na przerwaną naradę, na której miała być teraz na pierwszym planie omówioną kwestya przejętego przez nieprzyjaciela raportu.

Już było około ósmej wieczorem, kiedy przed domem komendanta twierdzy zatrzymał się koń, na którym siedział niemłody już ułan z oznakami wachmistrza.

Przybyły oddał konia stojącemu szyldwachowi, poczem poprawiwszy bandaża na twarzy i wydobywszy jakiś pakiet z zanadrza, śmiało otworzył drzwi, prowadzące do mieszkania komendanta.

Nie zdejmując nakrycia z głowy, owszem bardziej jeszcze przycisnąwszy go na czoło, wachmistrz pokazał pieczęć ks. Józefa wartującemu w korytarzu żołnierzowi, aby uzyskać przejście, poczem wszedł prosto do sali, w której właśnie, jak mówiliśmy przedtem, toczyła się rada wojenna. Zerwali się natychmiast oficerowie ze swych miejsc, zobaczywszy ułana, a odebrawszy od niego raport, oddali siedzącemu na prezydującem miejscu generałowi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Wielkopolski.

We wrześniu 1912 r.

Pamiętacie może, jak przed niejakim czasem pisałem wam o okolicach Noteci? jak opowiadałem o mieszkańcach z pod Nakła i Bydgoszczy — i wprowadzałem was do zagrody Bielickich w Kaźmirowie nad Orlą? Przypominacie sobie może jeszcze, że to zagrody owej gospodarz orząc, siejąc i żniwując, przecież czas znajdował na uprawianie ukochanej sztuki swojej rzeźbiarstwa; że książki czytywał, w Krakowie był i w Zakopanem, i tam niejednokrotnie próbował wiersze składać; że rachował mądrze i sumiennie dochody godził z rozchodami; że w ten sposób najskuteczniej ziemi bronił przed obcym zaborem — i ten swój obowiązek spełniał przedewszystkiem.

Otóż wróćmy na chwilę dzisiaj myślą do Wielkopolski, i rozejrzyjmy się w innej okolicy, wśród innych ludzi — innych strojem i krojem, zwyczajem lub słowem — lecz tych samych mową i sercem, tych samych ciężką dolą obrońców — i takich samych przez moc kochania Ojczyzny — jak Krakusy czy Podlasianie.

Rolnik poznański, z jakiejby nie był okolicy, z pod Kościana czy Szamotuł, na Kraśnie czy Przemencie, jednego baczą przedewszystkiem: ziemi; jedno kocha: Polskę; jednego nienawidzi: Prusaka. I rozumie doskonale, że ziemia to grunt, to oparcie nogami i sercem; że Polska — to mowa, i strój, i obyczaj, i wychowanie dzieci; że Prusak — to zabór, to ucisk, to siła, to chciwość — i walka bez wytchnienia. Dlatego rolnik Wielkopolski oszczędza i pracuje; nietylko pracuje — ale i oszczędza: nie pije — nie gra w karty — nie hula; dlatego nosi strój polski, strój ojcowy i gardzi takim, co się przebiera i udaje »pana;« dlatego ma się na baczności przed różnemi namowami obcych — zwłaszcza przed żydami.

Ciekawe cyfry ogłoszono przed kilku tygodniami; oto biuro urzędowe stwierdziło, jak bardzo się zmniejsza w Poznańskiem z roku na rok liczba osiadłych tam żydów! Nietylko, że nie widać ich już po wsiach: ani dóbr wielkich dzierżawią, ani pachciarzami nie są, ani sklepików nie trzymają. — Ale i w miastach i miasteczkach jest ich coraz mniej: bo i tu są niepotrzebni.

Handel zbożem wzięła zupełnie w ręce instytucya, zwana »Rolnikiem«, a rozgałęziona po wszystkich miasteczkach Wielkopolski; ona to kupuje i sprzedaje zboże, kartofle, sprowadza nasiona, nawozy, maszyny; Banki polskie, t. zw, ludowe, wyparły żydów pośredników, lichwiarzy i niemieckie instytucye pożyczkowe; wzorowo urządzone mleczarnie czynią zbytecznymi żydków, którzyby hurtem kupowali mleko i robili na niem majątek. Słowem: Wielkopolska podnosi, się jako byt, jako zamożność, jako siła pieniężna, swoją własną mocą, nauką i trudem.

Boć naturalnie wszędzie głów potrzeba do rządzenia i rąk wszędzie do codziennej żmudnej pracy.

A jakie owoce tej pracy i nauki w samych gospodarstwach, na roli, w domu, polu, w stajni, w oborze, w kurniku, w ogrodzie?

Miałem sposobność przyjrzeć się temu na wystawie w Pamiątkowie.

Pamiątkowo — to nie stolica żadna; to duża wieś pp. Maciejów Koczorowskich, w poznańskim powiecie: ma naturalnie »Kółko rolnicze«, bardzo czynne i ożywione. A trzeba wiedzieć, że w Poznańskiem »Kółko«, to nie, jak tutaj — sklepik z produktami kupowanemi od rolników — albo dla rol-

ników, nie — to robi w Poznańskiem ów wspomniany wyżej »Rolnik«. Kółka rolnicze zaś są wyłącznie przeznaczone ku nauce; na regularnie odbywanych zebraniach gospodarze miewają kolejno odczyty pouczające o uprawie roli, o chowie inwentarza, o kredycie, nad odczytem wywiązuje się rozmowa i każdy wynosi z niej pożyteczną nowość, wzbogacony wiedzą i cudzym przykładem. Wieśniak wielkopolski bowiem potrafi już czasu po próżnicy nie tracić. Do »Kółek« od niedawnego czasu należeć mogą i koi kobiety — i udział ich jest stosunkowo liczny.

A teraz wróćmy do Pamiątkowa i jego wystawy.

Otóż wystawa owa właśnie była dziełem »Kółka rolniczego;« tylko członkowie mieli prawo nadesłać okazy i ubiegać się o nagrody. — Stanęło 46 wystawców z końmi, bydłem, nierogacizną, kurami, gęśmi, kaczkami, zbożem rozmaitem, ogrodowiznami; samych koni przyprowadzono 40! Nagrody stanowił przeważnie żywy drób wyjątkowych ras, przeznaczony na chów — lub kwoty pieniężne 20—40 marek. Gospodyń-wystawczyń było 14; za same owoce nagrodzonych 6; zainteresowania ogólnego dowodził liczny zjazd obywateli i włościan z okolicy, a członkowie Kółka i twórcy wystawy mieli zgoła dumne miny!

Sąsiaduje z powiatem poznańskim szamotulskim. Miasteczko Szamotuły, słynie kościołem wspaniałym gotyckim, a lud — strojem bogatym i charakterystycznym, — ziemia urodzajnością i polskim typem: jak okiem sięgnąć łany pszeniczne, żytnie lub jęczmienne, dwory w otoczeniu lip i świerków, drogi topolami lub wierzbami sadzone — często czereśniami lub gruszami — po których owoc złodziejska ręka tu nie sięga,

Zdarzają się tam nierzadko wsie gospodarskie: n. p. rodzinne Przybyłów rozsiadła się szeroko pięćdziesięcio morgowych gospodarstwach, a gdy czterech Przybyłów w niedzielę w szamotulskim kościele do baldachimu stanie na procesyę, w bogatych sukmanach granatowych, o czerwonych podszewkach i wyłogach — to jest czem oko nacieszyć — takie postacie dorodne, a marsowe. Kobiety w tym rodzie są rządne, gospodarne, dziewuchy śmigłe i ładne. Wogóle Szamotulskie to ładny szlak ludzi: niemało uroku dodają kobietom białe haftowane lub zgoła koronkowe czepeczki, wiązane na szerokie bandy, i śnieżne krysy rzęsiste; mężatki wiążą wokoło głowy, na wierzchu czepców jedwabne zwinięte chusty kolorowe, obcinają zresztą włosy krótko — jak i wszędzie na obszarze ziem słowiańskich.

Wchodzimy do obejścia jednego z Przybyłów; gospodarza znajdujemy w stodole, gdzie ustawia nową młocarnię, puszczaną w ruch dwu-konnym kieratem. Wizytą naszą nie jest bynajmniej zmieszany; dzieli się chętnie radościami żywota: oto żniwo ukończył przy pięknej pogodzie, krowa ocieliła się zdrowo, konia sprzedał za dobry grosz, a owocu w sadzie tyle, ile nie było od lat dwudziestu pięciu. W stajni trzy konie, w oborze pięć sztuk bydła, w chlewie młodego przychowku sztuk ośm; pod daszkiem bryczka porządna, w ogrodzie drzew gałęzie popodpierane dla wielkiej obfitości owocu, na ścianach domu winograd, w oknach doniczki typowych pelargonij. Izb cztery — komora, kuchnia, spiżarka. Osób dwanaścioro: starzy rodzice »na wycugu«, dwoje gospodarzy i ośmioro dzieci; jedna córka jeno dotąd na swojem.

Pytam o dochody i rozchody — i za parę dni otrzymuję zupełnie porządnie zrobiony budżet gospodarski, który tu w całości podaję:

Gospodarstwo obejmuje mórg 71 (pruskich).

DOCHODY:

Zboże (prócz wysiewu) . .	2.400 marek
Bydło	700 »
Koń sprzedany	400 »
Świnie	500 »
Kury, kaczki, perlice . .	100 »
Gęsi	100 »
Kapusta	30 »
Owoc	20 »
Jaja	30 »
Masło	50 »
Kartofle	50 »
Razem . . .	4.280 marek.

ROZCHODY:

Utrzymanie koni	700 marek
Zakupno jałowic	250 »
Pasza dla świń	300 »
Towary kolonialne . . .	300 »
Mąka	300 »
Ubranie (10 osób) . . .	300 »
Obuwie (10 osób) . . .	150 »
Drzewo na opał	100 »
Węgle	50 »
Sztuczne nawozy	200 »
Stelmach i kowal	100 »
Najem	30 »
Gazety	10 »
Lekarz i apteka	20 »
Strata na gradobiciu . . .	60 »
Zabezpieczenie od ognia .	50 »
Podatki	300 »
Procent i rata długu . . .	500 »
Reperacya dachu	50 »
Razem . . .	3.720 marek

ZESTAWIENIE:

Dochody	4.280 marek
Rozchody	3.720 »
Odłożono	**560** marek

Prócz tego gospodarstwo odrzuciło na utrzymanie: kartofli 500 ctn. (na paszę dla bydła i domową potrzebę), mleka za około 600 marek, wieprzy 8 ctn., masła 50 kg., owocu 3 ctn., co wszystko poszło na wyżywienie 12 osób. — Powiecie zapewne: bogacze! — Ale jakie słowa znajdziecie, gdy wam opowiem, iż ten sam Przybył zaczął z dziesięcioma morgami, przed siedmnastu laty doszczętnie się spalił, a za najbliższego sąsiada miał Niemca??!?

Chyba przyznacie, że »Jeszcze nie zginęła« Polska i Wielkopolska!

Stanisław Krzywda.



IDZIE JESIEŃ.

Minął sierpień pełen złota,
Ku końcowi ma się wrzesień,
W sercu jakaś gra tęsknota
I coś szepcze: Idzie jesień!

Patrz! już słabiej słońce błyska,
Z drzew upada owoc żrały,
Pożółkniały już ścierniska,
Ptaki z Polski w świat pognały.

Już ustała w polu praca,
Chłopek schował sierpy, kosy,
Tylko w szopie wciąż wymłaca
Pełne ziarna złote kłosy.

Wkoło cisza smutna, głucha
Krówki stoją tam nad rzeką
A tam dalej ogień bucha,
To ziemniaki chłopcy pieką.

Gdzieżeś, lato ukochane!
Pełne szczęścia i uniesień?
Hej! już niebo zapłakane..
Idzie jesień, smutna jesień!

Józef Kobylański.

BITWA POD MŁYNARZAMI 1831 R.



Chcąc poznać kraj mój i te ojców niwy, które przez wieki naród wolny płużył, kraj dawniej wolny, dzisiaj nieszczęśliwy, który swą piersią za tarcz innym służył, ruszyłem w drogę w czas wolny od pracy, tam gdzie mieszkają od wieków Polacy.

I tym sposobem niedawnemi czasy zaszedłem do wsi zwącej się Młynarze...

Na przyzbie siedli, poprawiając pasy, najpoważniejsi z wioski gospodarze, a wśród nich starzec, jak z obrazka święty, blizko stuletni gospodarz Jacenty.

A gdyśmy wszyscy zasiedli u proga, stary Jacenty podgarnął włos płowy i, pochwaliwszy najprzód Pana Boga, temi jął prawić do słuchaczy słowy:

— Te miejsca, które widzicie są święte, bo bohaterów krwią są przesiąknięte.

Tutaj przed laty przeszło ośmdziesięciu wrzał bój śmiertelny powstańców z Moskalem. Matka ma niosła posiłek dziecięciu, kiedy do chaty wpadli kowal z drwalem i zakrzyknęli:

— Ojciec! brać za kosy!

A z drogi w chatę szły zmieszane głosy.

Wrzał bój zacięty... Ojciec wybiegł z kosą a za nim biegli równo drwal z kowalem...

Jeszcze dziś widzę ojca z stopą bosą, gdy jak wichr pędził za wrogiem Moskalem... skoro go dopadł, tak silnie uderzył, że Moskal upadł, jak długi, i nie żył.

Lecz w tem na koniu przypadł Moskal drugi i cięciem szabli drasnął ojcu lice. — Wybiegli z domu parobcy i sługi, wpadli na wroga, jakby błyskawice, — walili cepem i kosami siekli, póki Moskale od nich nie uciekli.

Jaki był koniec tej bitwy, nie pomnę, dość, że za jakie coś cztery miesiące spadły na dom nasz klęski przeogromne: Widziałem ojca zwłoki krwią ciekące pod szubienicą, a innych zaciekli Moskale w Sybir na wieki wywlekli.

Antoni St. Bassara.

Loteryjnik.

(Obrazek z życia).

Michał Drzazga był sobie gospodarzem na niewielkim kawałku pola; ale chociaż nie tak majętny, umiał gospodarować rozumnie i z wyrachowaniem. Bywało, wejdzie żebrak w jego progi — udzieli mu jałmużny, lecz i doda:

— No dziadku, jeno nie przepijcie, bo wam daję owoc ciężkiej mojej pracy, a módlcie się szczerze za moich rodziców.

Bywało, wejdzie niechcący do karczmy — ale żeby wypił — Broń Boże! Przeglądnie gości bawiących, pokiwa głową, machnie kilka razy ręką i pędzi, kieby wicher ku chacie, mrucząc sobie pod nosem:

— Hultaje, opoje, marnotrawcy, a bodaj ich.

Między sąsiadami żył Michał w zgodzie i był dla nich uprzejmy i grzeczny. Ale pomimo zalety i cnoty miał nasz Drzazga i wady, bo któż na świecie jest bez nich. Największą wadą, było często stawianie na loteryę. Nie pomogły perswazye i błagania jego poczciwej połowicy, która, widząc męża co tydzień spieszącego do miasteczka, aby zbadać numera, stawała mu w drodze i błagała anielskiemi słowy:

— Michałku dej se spokój z tą zatraconą loteryą... ot, tyle stawiasz a cóżeś wygrał... prawie nic... a choć tam czasem co kapnie — to pięć razy tyle na to stracisz... Michałku, dziś nie pójdziesz! zostań w domu... Bywało, po takich molestacyach, Drzazga wracał się, usiadł na ławie, chwycił się rękoma za głowę i dumał... rzekłbyś; rozmyślał nad przegranymi pieniądzmi. Po chwili otrząsł się z zadumy, a wypogodziwszy czoło, mawiał:

— Może być, że ty rzetelnie mówisz, moja Hanuś! Człowiek może i źle robi, ze tak ciągiem stawia, bo ta ambo do utrafu, a terno prawie nigdy. Ale jakaś mankulia człowieka ciągnie i ciągnie.

— Michałku, co ta pleciesz, wszystkiego się można oduczyć, to i od loteryi odwyrnąć musisz, jakem Drzazgowa.

— Hm, oduczyć, nie oduczyć, bo jak się czasem co fajnego przyśni — nie ździerżę, muszę postawić, a nuż terno trafi a fortuna się zaśmieje do człeka...

— A żeby cię z twoim ternem, Michałku, widzisz, tyle stawiasz a coś wygrał... ani czwartej części z tego coś stracił. A ja ci dam dziś warunek, tylko mi przysiądz na to: Za każdym razem jak postawisz a nie wygrasz, dasz mi koronę, którą ja rozdzielę biednym. Będziemy widzieć kto dłużej wytrzyma w tym warunku.

— Niech i tak będzie, a takoj stawiał będę.

Tak zeszło miesiąc cały. Drzazga chadzał co tydzień do miasteczka, badał numera, stawiał ponownie i cieszył się nadzieją. Lecz ta ostatnia kpiła sobie poprostu z Michała, bo po pięciokrotnej stawce nic nie wygrał, przeciwnie jeszcze przegrał 5 koron, które musiał złożyć na biednych. Po piątej bezowocnej stawce wracał zły do domu, darł się rękami po czuprynie i złorzeczył sam sobie:

Niech mię licho porwie.., psiamać, szkoda pięć koron dać na kulasów i chyrlaków... do czorta z loteryą... nie dla chłopa psia mać... Niech ta stawiają socyalisty, czerwieniaki, ja już tyla, co dziś, a tobym wyszedł na widok... dziadyby w rozkosz wpadły... za moje centy... Nie trza mi tego... Boże dopomóż... Amen.

Wśród takich zaklęć spieszył szybko ku chacie. Żona oczekiwała nań w progu.

— No, Michałku, zdarzyło dziś czy nie; musi, z dziesiątkę wleczesz!

— E, nie złość mnie, Hanka! Niech ta licho, psia mać... piątą koronę za bezdurno... et, szkoda gęby... Ja tu koron nie klepię... przysięga przysięgą — dać muszę... no, wygrałbym na rok 52 koron.

— A widzisz Michałku — dobruchała go poczciwa Hanka, nie lepiej to za te pieniądze, co przegrasz, gazetkę sobie zaprenumerować, do czego cię sąsiad Walenty dawno namawia a tylko cztery korony na rok... a rozrywki co nie miara...

— Hanuś, jak cię kocham, od dziś nie zobaczy mnie nikt przy stoliku loteryjnym.

— A jak pójdziesz do miasteczka, nie zapomnij posłać 4 korony na dobrą gazetę.

Walenty Pasierb.

S E N.

Starzec zgrzybiały zasnął strudzony, a na pamięć przyćmioną spływa marzenie senne i unosi go w nieznane krainy bezbrzeżne. Urojeń fala porywa go na stoki górskie i w odwieczne lasy, nad wód błękity i pod niebios lazury. Snują się duchów postacie poważne i zimne, jak głaz grobowy; jasne, świetlane, jak słońce i czarne, jak noc ponura. Słyszy dźwięki muzyki przecudnej, nadziemskich głosów szepty, kajdan brzęki i zgrzyt szubienic, kłótnie i swary, śpiewy i przykleństwa.

Nareszcie zatrzymał się duch w sennem marzeniu na leśnej polanie, otoczonej drzew potężnych kołem i zobaczył tłum, dokoła wirujący w szale i dzikiem upojeniu; usłyszał krzyki i złowrogie jęki.

Zbliża się do jednej z grup i widzi szklanki i kielichy, lecz pijackie wyziewy zawracają mu głowę, więc zdąża czemprędzej dalej. Tam gromadka z gromadką sprzecza się, a od kłótni i swarów zaczyna się bójka krwawa. Więc smutny umyka dalej, a tam znów tłumy różnych cieni wirują i w dzikim szale zmagają się nawzajem, jak dwa huragany, gdy w niepowstrzymanym zapędzie uderzą na siebie i skłębią się zwartą masą, niszcząc wszystko po drodze.

Idąc dalej spotkał świątyni otwarte podwoje, a wewnątrz pustka i cisza grobowa przejęła go dreszczem. Na skraju polany ujrzał ogromną budowlę, koło której tysiące robotników uwijało się; lecz gmach ten trudny do ukończenia, bo co chwilę rzesze innych napływały, niszczyły zaczęte dzieło, a działały na swój sposób i tak bez końca.

A gdy ten haos i zniszczenie obszedł dokoła — zdrętwiał — albowiem na środku polany zobaczył postać niewieścią, przykutą łańcuchem do słupa kamiennego, w cierniowej koronie. Ciało pokaleczone, a z ran krew się czerwieniła i sączyła kroplami na ziemię. Nad nią unosił się anioł i w księdze otwartej ustawicznie zapisywał. Jęki przykutej rozlegały się po całej polanie i mieszały się z ogólnym wrzaskiem.

Wtem głos z góry od strony anioła rozległ się poważnie jak odgłos dzwonu:

— Od dawna tłumy te oswobodzić pragną nieszczęśliwą postać; lecz niezgoda żre ich, jak robak piekielny, a zamiast swobody sprowadzają nowe męki na nieszczęśliwą; powiększają księgę win, za które ona odpokutować musi. Niech idą razem tam, gdzie zorza świta; zgodnie niechaj szukają jasnych niezbadanych dróg, niechaj porzucą wszystkie nałogi przeklęte, co jadem trują ich czyny zaczęte i połączeni wiarą, staną mąż przy mężu, a wybawienie znajdą w światlanym orężu.

Opony mgławe zakryły widziadło, starzec się zbudził i zadumał srodze, że nieraz przecie na właściwej drodze byliśmy; lecz bratu nie ufa brat, przeto tracimy wciąż prawdziwy ślad. ***J. Jarmuła.***

Kongres Eucharystyczny.

W dniach od 11 do 15 b. m. odbył się w Wiedniu kongres Eucharystyczny, na który zjechali się przedstawiciele całego świata katolickiego. Uroczystości rozpoczęły się przyjęciem legata papieskiego kardynała Rossum. Ulice Wiednia były uroczyście przyozdobione chorągwiami o barwach papieskich, festonami i girlandami. Przed kościołami ustawiono bramy tryumfalne. Na ulicach panował ścisk niezwykły. Tysiące ludzi z odznakami kongresowemi stanęło szpalerem.

W środę po południu dnia 11 b. m. odbyło się uroczyste zagajenie kongresu przez ks. biskupa Heylena z Namuru z udziałem arcyksięcia Piotra Ferdynanda, ministrów Długosza, Zaleskiego, Hussarka i innych dygnitarzy. Było to zebranie, jakiego Wiedeń dotychczas nie oglądał. Zebrały się wszelkie stany wszystkich narodów. Widzieć było można członków austryackiej rodziny cesarskiej, dostojników Kościoła św., pomiędzy nimi naszych biskupów polskich, wiele duchowieństwa i niezliczoną liczbę ludu wszystkich na Kongresie reprezentowanych narodowości. Słowem była to manifestacya całego świata katolickiego.

Wstępujących na estradę legata papieskiego ks. kardynała Rossuma i zastępcę cesarza arcyksięcia Piotra Ferdynanda, powitała fala zebranych nie do opisania hucznemi oklaskami. Zagaił zebranie biskup belgijski Heylen.

Następnie odczytano breve papieża Piusa X., którego zebrani z całą uwagą wysłuchali. Potem zabrał głos sam legat papieski, ks. kardynał Rossum. Wskazując na ważność Kongresów Eucharystycznych, wzywał do gorącej czci Najświętszego Sakramentu. W dalszym ciągu wspomniał o cudownem ocaleniu Wiednia i kraju w roku 1683 przed nawałnicą niechrześcijańską. Pomiędzy innemi powiedział ks. kardynał legat co następuje: »Powinniśmy szukać siły naszej w Przenajświętszym Sakramencie. W trudnościach życia doczesnego, w walce przeciw nieprzyjaciołom wewnętrznym i zewnętrznym ma być Jezus Chrystus utajony w Przenajświętszym Sakramencie naszą siłą i obroną. I tu przypomnijmy sobie chwilę odsieczy wiedeńskiej w roku 1683. Było to dnia 12 września, a więc w pierwszy dzień naszego Kongresu, kiedy to rozegrała się walka z nieprzyjaciołami pod murami Wiednie. Tu niezawodnie okazał Chrystus Pan utajony w Eucharystyi swoją moc i siłę. Żołnierze już dzień przedtem przyjęli Ciało Chrystusa Pana, w czem im dowódzcy, a mianowicie król polski Jan III Sobieski, służyli przykładem. I w taki sposób duchowo pokrzepione wojska mogły w walce z nieprzyjacielem zwyciężyć«.

Mowa legata papieskiego wywołała głębokie wrażenie.

Na Kongres już w pierwszym dniu przybyło około 200 tysięcy osób, w tem około 6 tysięcy duchownych. Polaków zgłosiło się do procesyi 6 tysięcy. Chłopi galicyjscy swemi barwnemi strojami zwracali powszechną uwagę.

Przez następne dni, t. j. 12, 13 i 14 września odbywały się posiedzenia sekcyjne, na których wygłaszano głębokie i podniosłe odczyty o sprawach interesujących katolików.

W niedzielę 15 b. m. odbyła się wspaniała procesya, w której wzięły udział tysięczne tłumy pobożnych.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XX.

Niepojęty wypadek. — Powrót do zdrowia Harberta. — Jeszcze zwiedzanie wyspy. — Przygotowanie do wyjazdu. — Pierwszy dzień. Noc. — Drugi dzień. — Kazuary. — Ślady w lesie. — Przybycie do przylądka Gadu.

Gedeon otworzył śpiesznie pudełeczko i znalazł w niem najmniej dwieście gramów białego proszku; skosztował go, nadzwyczajna gorycz zdawała się świadczyć, że to jest chinina, ten najskuteczniejszy środek przeciwfebryczny.

Trzeba było przedewszystkiem zadać go Harbertowi, nie rozmyślając nad tem, kto dostarczył.

— Kawy! — zawołał Spilett.

Nab wybiegł i w parę chwil potem przyniósł filiżankę ciepłej kawy. Spilet wsypał do niej około ośmnastu gramów chininy i chociaż z trudnością napoił Harberta. Chory mógł być uratowany, skoro trzeci paroksyzm zimnicy jeszcze nie przyszedł. Nadzieja wstąpiła w serca kolonistów; tajemnicza opieka znów czuwała nad nimi, i doznali jej dobroczynnych skutków wtenczas właśnie, gdy o niej zupełnie zwątpili.

Po kilku godzinach Harbert był już spokojniejszy i koloniści mogli pomówić z sobą o wypadku. Jakim sposobem tajemniczy zbawca dostał się w nocy do Granitowego pałacu? Działanie jego było równie niepojęte, jak on sam.

Przez cały ten dzień Harbert zażywał chininę co trzy godziny, a nazajutrz było już trochę lepiej. Nadzieja wróciła do serc kolonistów. Wprawdzie zimnice wracały często, ale teraz posiadali już zwalczający je środek. W dziesięć dni później, Harbert zaczął już przychodzić do zdrowia; był jeszcze bardzo słaby, ale paroksyzmy ustały.

Penkroff był podobny do człowieka, którego wydobyto z przepaści; chwilami radość jego dochodziła prawie do szału, a kiedy minął czas trzeciego napadu, uściskał reportera tak silnie, że go o mało nie udusił, i odtąd nazywał go ciągle doktorem Spilett.

Skończył się grudzień, a z nim razem rok 1867, w którym koloniści tak ciężkie przechodzili doświadczenia. Zaraz od początku 1868, czas był prześliczny, upały silne, ale lekki wietrzyk od morza chłodził powietrze. Postawiono łóżko Harberta przy oknie, to też wciągając w siebie to zdrowe, przepełnione wyziewami morskimi powietrze, widocznie odzyskiwał zdrowie i siły; zaczął już posilać się trochę, a jakież to przysmaczki Nab przyrządzał dla niego!...

Przez cały ten czas zbrodniarze nie pokazali się wcale w pobliżu Granitowego pałacu, o Ayrtonie nie było żadnej wieści. Aby dowiedzieć się pod tym względem czegoś pewnego, trzeba było czekać może cały miesiąc, póki chory zupełnego nie odzyska zdrowia, gdyż wszystkie siły kolonii były potrzebne do wytropienia i zwalczenia zbrodniarzy. Szczęściem Harbert z każdym dniem czuł się lepiej. W styczniu koloniści zajęli się pracą na płaszczyźnie, gdzie chcieli uratować resztki zboża i ogrodowizn, których zbrodniarze nie zdołali zniszczyć.

Przy końcu stycznia, doktor Spilett pozwolił już Harbertowi wychodzić na płaszczyznę i na brzeg morza i kazał wziąć kilka kąpieli morskich, które posłużyły mu bardzo. Cyrus mógł już teraz śmiało pomyśleć o przyprowadzeniu do skutku zamierzonej

wycieczki i oznaczył ją na dzień piętnastego lutego. Noce bardzo jasne sprzyjały temu niezmiernie.

Rozpoczęto zaraz przygotowania do podróży, która mogła przeciągnąć się dość długo, bo koloniści postanowili nie wracać do Granitowego pałacu, dopóki nie dosięgną podwójnego celu podróży, to jest nie wytępią zbrodniarzy, nie oswobodzą Ayrtona, jezeli żył jeszcze i nie wyszukają tajemniczego opiekuna.

Koloniści nie znali dotąd wcale lasów, pokrywających półwysep, gdzie z pewnością musiało istnieć nie jedno trudne do odkrycia schronienie. Dlatego też postanowili poznać tę część wyspy. Z początku zamierzali pójść najpierw do owczarni, lecz zastanowili się później, że albo zbrodniarze zrabowali ją i zniszczyli już do tego czasu, albo też obrali w niej stałe mieszkanie, a w takim razie znajdą ich tam i później. Obejrzano starannie wóz, aby nie zepsuł się w drodze, następnie włożono na niego żywność, naczynia kuchenne, przenośną kuchenkę, broń, zapasy kul i prochu.

Po ogólnej naradzie postanowiono, że nikt nie pozostanie w Granitowym pałacu: nawet Top i Jow mieli należeć do wyprawy. Ponieważ zbrodniarze mogli błąkać się po lesie, Cyrus Smith zalecił, aby ciągle wszyscy szli razem.

W wigilię wyjazdu przypadała niedziela, cały więc dzień przeznaczono na modlitwę i odpoczynek. Nazajutrz o świcie inżynier przedsięwziął środki, zabezpieczające Granitowy pałac od wszelkiej napaści. Przeniesiono do Kominów drabiny, po których dawniej wchodzono do niego, i zakopano je głęboko w piasek, aby po powrocie mogli się po nich dostać do domu, gdyż windę skasowano na czas nieobecności.

— Śliczny mamy dzień, choć nieco za gorący — rzekł wesoło reporter.

— Nic to nie szkodzi, panie doktorze — odpowiedział Penkroff — drzewa nas tak dobrze osłaniać będą, że nawet nie zobaczymy słońca.

— Ruszajmy! — rzekł inżynier.

Wóz zaprzężony stał już przed Kominami. Reporter żądał, aby Harbert wsiadł na niego i młody chłopiec musiał uledz woli swego lekarza. Nab prowadził onagi, Cyrus, reporter i Penkroff szli naprzód. Top, jak zwykle, biegał to w tę, to w ową stronę, Jow na wezwanie Harberta usiadł przy nim bez wahania. Po przebyciu mostu zapuścili się w ogromne lasy Dalekiego Zachodu. Przez pierwsze dwie mile drzewa były rzadkie, i wóz toczył się między niemi swobodnie, tylko czasami trzeba było przecinać tamujące drogę zielone girlandy lianów, przerzucających się od drzewa do drzewa.

Gumowce, drzewa smocze i inne gatunki, spotykane już na wyspie, pokrywały niezmierzone okiem przestrzenie. Koloniści znajdowali tu także ptaki, znane im już z poprzednich wycieczek, jak: cietrzewie, żakamary, bażanty, lory, kakotaesy i rozmaite gatunki krzykliwych papug. Aguty, kangury i kabie, przesuwające się między krzakami, przypominały im pierwsze ich wycieczki.

— Czy nie zwróciliście na to uwagi — rzekł Cyrus, że tak ptaki jak zwierzęta są lękliwsze. niż były po naszem przybyciu na wyspę; z tego wypada wnosić, że złoczyńcy musieli polować w tym lesie i że pewno znajdziemy tu ich ślady.

W istocie spotykane w wielu miejscach wygasłe ogniska i liczne ślady stóp wskazywały, że ludzie przechodzili już tędy, ale nigdzie nie dostrzeżono nic takiego, coby dowodziło, że tu było stałe ich siedlisko.

Do chłopskiej braci!

Gdy jesienny wieczór cichy
Zawitał do waszych chat,
Rzućcie bajki i kielichy,
Posłuchajcie moich rad:

Do czytania starzy, młodzi
Spieszcie, póki życie lśni,
Ono pracę wam osłodzi
I słuszność przyznacie mi.

A że „Rola" ziarno zdrowe
Rozsiewa — i nauk zdrój,
Więc przeczytać prawdy owe
Szczerze radzę bracie mój;

Bo z czytania światło złote
Zawita do każdej z chat;
Jeźli tylko masz ochotę,
Nie żałuj na „Rolę" strat.

Grosz wydany — dwa przysporzy,
Gdy nauki pojmiesz cud;
Bo zobaczysz blaski zorzy,
A przy pracy — zniknie trud.

J. Jarmuła.

Inżynier zalecił towarzyszom, aby wstrzymali się od polowania, choćby najwięcej spotykali zwierzyny, gdyż huk wystrzału ostrzegałby o ich zbliżaniu się zbrodniarzy, jeżeli znajdowali się w tej szronie.

Po południu musieli nieraz wycinać drzewa i krzaki, aby wóz mógł się przesunąć, w takim razie Cyrus wysyłał pierwej wgęstwinę Topa i Jowa, a jeżeli zmyślne zwierzęta nie ostrzegły kolonistów, mogli być pewni, że nie potrzebują się obawiać ani dzikich zwierząt, ani zbrodniarzy.

Wieczorem rozłożyli się obozem o dziewięć mil od Granitowego pałacu, nad brzegiem nieznanej im dotąd rzeczki, wpadającej do Mercy. Nab przygotował sutą wieczerzą, z której mało co pozostało, gdyż wszyscy byli głodni. Następnie szło tylko o odstraszenie dzikich zwierząt, byłoby dość utrzymywać ciągle suty ogień, ale zbrodniarzy widok płomieni przyciągnąłby właśnie; lepiej więc było ukrywać się w ciemności, natomiast po dwóch razem kolonistów mieli czuwać przez noc całą, zmieniając się co parę godzin.

Noc bardzo krótka przeszła spokojnie, zdala tylko dochodziło niekiedy chrapliwe wycie jaguarów i krzyki małp, zaczepiających Jowa.

Nazajutrz zrobiono zaledwie sześć mil, gdyż ciągle prawie trzeba było torować sobie drogę siekierą. Harbert tego dnia odkrył nowe gatunki drzew, nie znajdujące się w innych lasach wyspy, jak paproć drzewiastą, drzewo świętojańskie, którego długie strąki zajadały chciwie onagi, kaurysy z pniami cylindrycznymi, których zielone stożkowate korony wznosiły się o dwieście stóp nad ziemią.

Z królestwa zwierzęcego spotykali tylko znane już na wyspie okazy, z wyjątkiem dwóch wielkich ptaków, wysokich na pięć stóp, brunatnych; był to gatunek kazuara, zwany w Australii emeus. Ptaki te biegają szybko, Top napróżno usiłował je doścignąć.

I tu jeszcze można było dostrzedz ślady pobytu złoczyńców. W jednem miejscu, przy niedawno, jak się zdawało, wygasłem ognisku, koloniści znaleźli ślady stóp różnej wielkości, a zmierzywszy dokładnie

ich długość i szerokość, przekonali się, że je tam zostawiło pięciu ludzi.

— Nie było z nimi Ayrtona! — rzekł Harbert.

— Tak, nie było — rzekł Penkroff — i to dowodzi, że nędznicy już go zamordowali! Ale czyż te potwory nie mają nigdzie stałego legowiska, w którem możnaby ich osaczyć jak dzikie zwierzęta!

— Prawdopodobnie — odpowiedział reporter — przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce, uważając, że to dla nich najbezpieczniejsze, dopóki nie staną się panami wyspy.

— Oni! panami wyspy! krzyknął marynarz. — Panami wyspy!... — powtórzył drżącym z gniewu głosem. Potem dodał spokojniej. — Czy wiecie, jaką nabiłem moją strzelbę?

— Nie, Penkroffie.

— Tą, co przeszyła pierś Harberta.

Tego wieczora zatrzymano się na noc o czternaście mil od Granitowego pałacu. Cyrus obliczał, że nie będą mieli więcej nad pięć mil od Przylądka Gadu. Rzeczywiście nazajutrz stanęli już na końcu półwyspu, ale nigdzie nie znaleźli kryjówki zbrodniarzy, ani też schronienia tajemniczego opiekuna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CHOĆ CIEMIĘZCY!...

Choć ciemięzcy naród dręczą,
　Polak się nie zlęknie,
Choć kajdany u nóg brzęczą,
　Słaby kruszec pęknie,
Choć nas mordują, choć dławią i duszą,
Do uległości nigdy nie przymuszą.

Dla ojczyzny serce bije
　I dla świętej wiary,
W naszej piersi miłość żyje
　Dla przeszłości starej.
Choć wróg się zżyma, tego nie dokona,
Aby ją wyrwał nam z piersi miliona.

Bo ta miłość w naszem łonie
　Płomieniem goreje,
Niezgaszonym ogniem płonie
　I do czynu grzeje.
Kto ją chce zgasić, silniej ją roznieca,
A ona, czysta, jaśniej nam przyświeca.

Wschodzą zorze dnia swobody,
　Upadku ciemięzców,
Świt na niebie — wnet narody
　Ujrzą w nas ciemięzców.
Wolną i żywą ujrzą Matkę naszą:
Jak Bóg na niebie, Polska będzie naszą.

Długie już lata w kajdanach niewoli,
W jarzmo wprzęgniony, spędził biedny lud,
W pocie, w mozole i twardej niedoli
Dla dobra wrogów znosić musiał trud.

Lecz już noc spędza ranek niedaleki,
Nadchodząc w jasnych otoczeniu zórz.
I ustępuje znużenie z powieki,
Ze snu twardego olbrzym zbudzon już.

Łaskawem okiem na córki swej dzieci,
Łaskawem okiem Ojciec spojrzał nań,
I z górnych krain na świat ziemski leci
Słowo ożywcze: Córko moja, wstań!

Arkadyusz Szarek.



Wawrzek Burdzioch, to okrutecnie, jak sam pada, niescęśliwy człowiek. Całe zycie musi harować, ze odpocnienia ni ma! Rano, ledwie słonko kilkadziesiąt kroków na niebo wylizie, juz musi wstawać, mówić pacierz, jeść śniadanie i tak na tem dobre dwie godziny casu zejdzie. Potem trzaby trochę na babę pogadać, zeby się bardzo nie rozpanosyła i znowu zejdzie godzina.

Zdawałoby się komu, ze sprzeklinanie baby codzień, to niepotrzebne. Juści pofolguj babie ino moment, to nad tobą górę weźnie, ze jak amen w pacirzu juz się z pod jej władzy na wieki nie wygramolis. A jak ją co dzień, cy trza, nie trza porządnie skunierujes i sprzeklinas, to się śnij zrobi taki baranek, ze, co chces z nią zrobis.

— Na taki robocie — pada Wawrzek — cas ci zleci do połednia i znowu jedzenie! Po połedniu trzaby ze dwie godzinki odpocąć, potem pójść do karcmy po tuton, ze ani się obeźrys, kiedy wiecór nadejdzie. Bez to cłek w tej ciągłej harówce ani nie wie, kiedy mu lata lecą. Ot, śtyrdziestka przysła, cłek się napracował, zestarzał a nicego nie uzył.

— Bodajta, jak wyście starzy — padam mu na to — kiedy wyście prawie się dopiro urodzili.

— Jakże to? — pyta.

— A no jak!? Padacie, że macie śtyrdzieści roków... prawda?

— No juści!

— Z tych śtyrdziestu ino połowa się rachuje, to jest dnie, bo w nocy toście spali, to się nie rachuje. Więc zyliście dopiro 20 lat.

— No, niby tak!

— Z tych dwudziestu znowu połowę przespaliście bez połednie, przesiedzieli w karcmie i przepróżniacyli. Prawda?

— No, niby tak!

— Widzicie, to wam zostaje ino dziesięć lat — prawda?

— No niby prawda!

— A wicie! A te dziesięć, toście byli małem chłopakiem, kiedyście to ino zbytki robili, a zadnej się pracy nie imali. — Prawda?

— A no niby prawda!

— Bez to uważcie! Dwadzieścia lat odpada na noce, dziesięć na drzymki poobiednie i próżnowanie a dziesięć na chłopięce zbytki, więc i co wam z tych śtyrdziestu lat na prawdziwą robotę zostało? Nic! La tego ja wam padam, ze wyście jesce zyć nie zacęli. Prawda?

— No niby!... E, idź! z tobą by do końca nie dosed — wrzasnął rozłoscony Wawrzek, ale odtąd zaprzestał narzykać na wielgą pracę.

Z TYGODNIA.

Szpiegostwo w Galicyi. Ciagle w Galicyi łapią szpiegów rosyjskich. W Zakopanem zaaresztowano znowu dwóch podejrzanych jegomościów, którzy szpiegowali na rzecz Rosyi. Z papierów, jakie przy nich znaleziono, okazało się, że stali na słnżbie rządu rosyjskiego.

Zwołanie delegacyj. Delegacye austryackie i węgierskie rozpoczną obrady dn. 23 b. m.

Prezydent ministrów austr. hr. Stürgkh powrócił do zdrowia i dn. 14 b. objął kierownictwo spraw państwowych.

(J. K.) **Zajście na granicy rosyjskiej.** Przed kilkoma dniami gospodarz ze wsi Dubyna, w pow. brodzkim, niejaki Kowalczuk, pasł gęsi nad granicą. Zdarzyło się, że gęsi poszły kilka metrów na terytoryum (ziemię) rosyjskie, wtedy Kowalczuk poszedł je zawrócić. Zaledwie jednak przekroczył pas neutralny, padł strzał. Kowalczuk zachwiał się i padł zabity od kuli sołdata. W całej okolicy zrobił ten wypadek wielkie wrażenie, gdyż zaszedł on w dzień i zupełnie niesłusznie padł człowiek ofiarą barbarzyństwa moskiewskiej straży granicznej, gdyż kontrabandy t. j. przemytnictwa nie uprawiał. Starostwo brodzkie wdrożyło w tej sprawie śledztwo.

Wybory do Dumy rosyjskiej. Ukaz carski o rozwiązaniu Dumy już został ogłoszony, Wybory prawyborców nastąpią 23 września; w początku i połowie października odbywać się będą wybory wyborców. Od 23 października do 7 listopada — wybory posłów w miastach. Otwarcie Dumy oczekiwane jest około 28 listopoda.

Straszny wypadek z balonem. W Erkencyi, na Węgrzech, podczas ćwiczeń artylerzystów przyszło do wielkiej katastrofy. Jeden z balonów wojskowych miał się właśnie wznieść w powietrze. W łódce balonu znajdował się porucznik Nischdörfer. Nagle zerwał się silny wiatr. Balon był już gotowy do wzlotu. Z powodu wiatru trzymało go kilkunastu artylerzystów za sznury. Mimo jednak ich usiłowań, wiatr porwał balon i uniósł go w górę, unosząc razem z nim kilku artylerzystów, którzy nie puścili sznurów. Gdy balon wzniósł się na jakie 7 metrów w górę, kilku artylerzystów, poznawszy grożące im niebezpieczeństwo, puściło sznury i spadło na ziemię. W tej chwili balon śmignął w górę, pozbywszy się znacznego ciężaru. Trzech artylerzystów jednak nie puściło sznurów i balon porwał ich uwieszonych u sznurów, na bardzo znaczną wysokość, poczem niesiony wiatrem, zniknął z oczu patrzącym z dołu. Widziano tylko, że owi trzej artylerzyści wisieli u sznurów balonu nawet wtedy, gdy balon bardzo znaczną osiągnął wysokość. Po kilku godzinach balon wylądował w miejscowości Lajos Nice. Znajdujący się w łódce porucznik Nischdörfer, wylądowawszy, zapytany o los owych trzech artylerzystów odparł ze zdziwieniem, że wogóle nic nie wie o tem, iż balon nie wzniósł się w zwykły sposób, ale że był porwany przez wiatr. Dwóch z owych artylerzystów znaleziono wieczorem strasznie pokaleczonych, zawisłych na drzewach w lesie. Widocznie, gdy balon znajdował się nad lasem, siły ich opuściły i opadli, spadając na drzewa. Trzeciego z nich nie zdołano dotąd odszukać. I on spadł niezawodnie i zapewne poniósł śmierć na miejscu.

Z Chorwacyi. Rządzący obecnie, po zawieszeniu konstytucyi w Chorwacyi, samowładnie komisarz królewski, Cuwaj, wydał szereg rozporządzeń, mających na celu zapobieżenie uprawianiu polityki przez młodzież szkół średnich. Zarządzenia te, podobne do rosyjskich rozporządzeń w Królestwie Polskiem, wprowadzają do szkół średnich wstrętne szpiegostwo policyjne. I tak młodzież z Bośni, Hercegowiny i Dalmacyi, nie może być przyjęta do szkół w Chorwacyi. Młodzież, uczęszczająca do szkół, może być przyjęta tylko u rodziców, lub w internatach, które pozostaną pod nadzorem rządu krajowego. — Władza szkolna ma uważać na stosunki przyjacielskie wśród uczniów i kontrolować, czy nie rozmawiają z sobą o polityce. Profesorowie w tym względzie mają przedkładać rządowi szczegółowe sprawozdania, zaś dyrekcye mają znowu kontrolować profesorów i zawiadomić rząd, gdyby który z profesorów wydawał się politycznie podejrzanym. Tymi środkami spodziewa się rząd krajowy wytępić wszelkie wrzenie wśród młodzieży.

Z Turcyi. Rokowania pokojowe między Turcyą a Włochami, prowadzone w tajemnicy, postąpiły pono znacznie naprzód. Wynikiem dotychczasowych rokowań jest zaprzestanie walki ze strony Włochów, a zezwolenie ze strony Turków na powrót wygnanych z Turcyi kupców włoskich. Mimo to położenie Turcyi bynajmniej się nie polepszyło. Jeszcze nie zdołano uporać się z Młodoturkami, a już w wojsku powstaje bunt. Wśród rezerwistów, rozłożonych wzdłuż cieśniny dardanelskiej, wybuchł groźny bunt, który trzeba tłumić krwią i żelazem. W Turcyi europejskiej Albańczycy nie myślą zadowolić się czczemi obietnicami, ale żądają zupełnego samorządu. Około 150 tysięcy Albańczyków stoi uzbrojonych w najnowsze karabiny. W Bułgaryi, Serbii i Czarnogórze wre i kipi od dłuższego czasu. Stanowisko jedynie mocarstw europejskich, które nie chcą wybuchu wojny na Bałkanach, tłumi jej zarzewie w tych krajach.

Konferencya angielsko-niemiecka. Jak donoszono swego czasu, czynią wybitne osobistości angielskie przygotowania do konferencyi niemiecko-angielskiej, celem zaprowadzenia serdeczniejszych stosunków pomiędzy obu tymi państwami. Konferencya odbędzie się 30 października w Londynie. Obrady toczyć się mają w formie wymiany zdań. W tym celu naprzykład redaktorzy niemieccy i angielscy referować mają o stanowisku niemieckiej i angielskiej prasy. Inni mówić mają o pokrewieństwie cywilizacyjnem pomiędzy obu narodami, o wspólnych celach i t. d.

Z Japonii. Jak już pisaliśmy, z powodu śmierci cesarza japońskiego, Mutsuhito, wielu wybitnych Japończyków nie chciało przeżyć tej chwili i odebrało sobie życie. Podczas uroczystego pogrzebu cesarza w zeszłym tygodniu, na który przybyli także przedstawiciele panujących europejskich, znakomity generał Nogi, który odznaczył się podczas wojny japońsko-rosyjskiej, również odebrał sobie życie, a wraz z nim i jego żona. Podciął on sobie gardło krótką szablą, a żona jego przebiła się sztyletem w chwili, gdy wystrzały armatnie zapowiedziały wyruszenie z pałacu cesarskiego konduktu żałobnego. Popełnili oni ten czyn ubrani w japoński strój narodowy w swem mieszkaniu. Przedtem wypili ostatnią herbatę z filiżanek, darowanych im przez zmarłego cesarza. Nad nimi zawieszony był portret cesarza, owinięty kirem. Samobójstwo generała Nogi uważają wybitni wojskowi jako wspaniały patryotyczny czyn, ponieważ jednak naród jest w głębokiej żałobie, a cesarz usunął się na ubocze, nie można oddać generałowi podczas pogrzebu zwykłych należnych mu honorów.

W całym kraju zdania co do samobójstwa jenerała Nogi są podzielone i jedni uważają je za bohaterstwo, drudzy surowo potępiają.

KRONIKA.

Następny numer „Roli“ będzie ostatnim w tym kwartale, kto więc nie ma zapłaconej prenumeraty za czwarty kwartał, niech ją nadeszle, abyśmy mu nie musieli wstrzymać przesyłki.

Czas także pomyśleć o przygotowaniu pieniędzy na rok 1913, gdyż czas szybko mija a wkrótce ogłosimy zaproszenie do przedpłaty.

Zasłużony kapłan. Z Chomranic ad Nowy Sącz, piszą nam: W dniu 7 września opuścił naszą parafię po dziesięcioletniej duszpasterskiej pracy i przeniósł się na własne żądanie do parafii w Witkowicach, przez wszystkich parafian szczerze ukochany ks. proboszcz i kanonik, Jan Wcisło. Przybywszy do Chomranic, najpierw zabrał się do odrestaurowania kościoła na zewnątrz, później zaopatrzył kościół w piękne szaty liturgiczne, jak ornaty, bieliznę itd. Dwa razy urządzał rekolekcye dla swych parafian, założył kasę Reiffeisena. Za czasów jego bytności gminy: Chomranice, Klęczany, Krasne potockie i Marcinkowice uwolnione zostały od szynków żydowskich, Klęczany i Krasne potockie nawet nie mają żadnych szynków, w miejsce żydów wstąpili katolicy, zaś pracą na ambonie i konfesyonale podniósł nas moralnie. Wszystkie siły poświęcił dla nas, był prawdziwym ojcem całej parafiii, lecz z powodu wielkiej pracy, bo pracował około 5000 dusz, siły swe wyczerpał, a ks. wikarego doczekać się nie mógł. Pomimo to nie zniechęcał się, lecz każdemu rad z duszy i serca jak najlepiej dogodzić. Biednym zawsze śpieszył z pomocą tak duchowną, jak i materyalną. Zaprowadził Bractwo Nieustającej Pomocy, sprowadził obraz tejże Matki Boskiej Nieustającej Pomocy z Rzymu, do którego to Bractwa zapisała się prawie cała parafia. To też za to wszystko pozyskał sobie serca wszystkich parafian. Odjeżdżając od nas, był zmuszony patrzeć na łzy nasze, któreśmy w smutku pogrążeni ronili. Straciliśmy najdroższego ojca, pamięć bowiem o nim w naszej parafii nigdy nie wygaśnie.

Wielka kradzież w Wieliczce. Do kasy salinarnej zakradł się nieznany sprawca. Gdy po wypłacie robotników kasyer opuścił na pół godziny kancelaryę, złodziej otworzył wytrychem drzwi, rozbił kasę i zabrał z niej 14.000 koron, poczem zbiegł niepostrzeżenie. Kiedy kasyer wrócił, zastał otwartą kancelaryę i opróżnioną kasę.

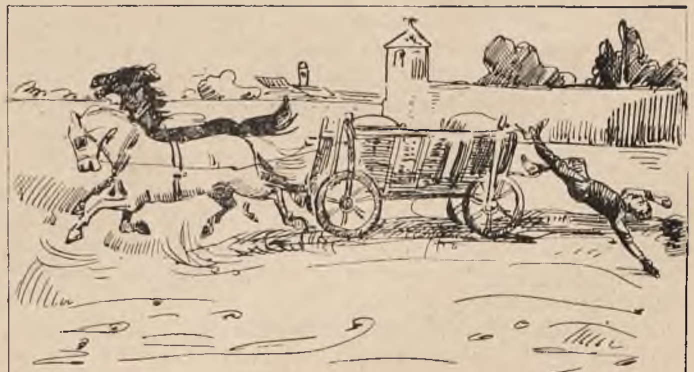
Słoty i zimna. Z wielu stron donoszą nam, że dżdżyste i, jak na wrzesień, zbyt zimne dni, sprawiły, że w polu ustała wszelka praca. Ziemia rozmokła się. Ni orać, ani siać nie można. Hreczka w półkopkach gnije na polach, a pogody trudno się doczekać. Jeśliby ta słota potrwała dalej, gotowe wygnić wszystkie ziemniaki, które już tak tego roku nie udały się, gdyż z powodu późnego posadzenia są drobne.

(W. L.) **Ciągłe deszcze.** W całej okolicy Strzyżowa panuje od dłuższego czasu ciągła słota, która sprawia wielkie szkody w ogrodach owocowych i w polach. Gospodarze mają znaczne straty, gdyż im na polach gnije reszta zboża niezebranego, siana, a do tego zatrzymuje robotę jesienną.

(W. L.) **Bójka między popisowymi.** Gdy dnia 9 września szli pijani popisowi ze Strzyżowa do Gwoźnicy górnej od asenterunku, wywiązała się między nimi bójka, z której dwóch mają pokaleczone głowy, trzeci ma nos skaleczony, a czwarty ma dwa palce utrącone. Nie ma co mówić, ładna młodzież.

Zbrodnia dezertera. Z Przeworska donoszą, że w dniu 10 b. m. leśny zarządu dóbr Lipnik ad Sietesz, koło Kańczugi, zamordował właściciela dóbr Adama Łastowieckiego. Zbrodnię popełniono w następujący sposób: Wieczorem tegoż dnia ś. p. Adam Łastowiecki zawezwał do siebie leśnego swego (dezertera armii rosyjskiej, który kilka lat służył u powyższego) i zagroził mu wydaleniem, jeżeli nie połączy się z żoną i nie będzie żył przykładnie. Rozgniewany leśny zrobioną mu uwagą, pobiegł do domu o kilka kilometrów odległego, porwał nabitą strzelbę, a wróciwszy do dworu i wpadłszy do pokoju jadalnego, chciał zastrzelić żonę ś. p. Łastowieckiego. Na krzyk przerażonej wybiegł ze swej kancelaryi Łastowiecki. Morderca zmierzył do niego i strzelił, drasnąwszy go kulą w szyję. Zadana rana była bardzo lekką, a ś. p. Łastowiecki, obawiając się dalszych strzałów, kilkoma krokami dopadł mordercę, przewrócił go na ziemię. Ten jednak w czasie szamotania się na ziemi, wydobył rewolwer i strzałem, skierowanym pod brodę, zabił swego chlebodawcę, który z litości przygarnął go. Ze dworu pobiegł morderca do swojego domu i tam zamordował nieślubne swe dziecko i ciężko poranił matkę swej kochanki, a następnie oddał się w ręce żandarmeryi. Wiadomość o strasznej śmierci ś. p. Łastowieckiego wywarła w całym powiecie głęboki, niekłamany żal i ogromne współczucie dla młodej wdowy i dziecka. Zmarły bowiem, jakkolwiek człowiek młody jeszcze, był prawdziwym przyjacielem sfer ziemiańskich, obrońcą i nauczycielem włościaństwa. Przy każdej pracy społecznej był zawsze pierwszym, a wyrobiony bezstronny sąd jego jednał dlań zawsze życzliwość.

W przystępie rozpaczy. Powodowany nieutulonym żalem po stracie żony pewien ziemianin i w straszny sposób pozbawił się życia. Do wozu zaprzągnął dwa najdziksze swoje konie i wyjechał za wieś.



Tam w miejscu odludnem, nogi swe przywiązał sznurami do tyłu wozu w ten sposób, że głowa i tułów — wlokły się po ziemi. Konie ciągnęły go przez sześć kilometrów. Kiedy konie wreszcie zatrzymano, nieszczęśliwy był już tylko krwawą masą do niepoznania.

(J. J.) **Pożar wzniecony przez pijanego.** Dnia 10 b. przyszedł do gospody katolickiej w wiosce Josefsdorfie, w powiecie mieleckim, pijany włóczęga i żądał od szynkarza jeszcze wódki. Gospodarz, widząc, że włóczęga dobrze pijany, wódki nie dał i włóczęgę wygnał za bramę. Wieczorem obszedł całe gospodarstwo, pozamykał i udał się na spoczynek. Około godziny wpół do 11 zauważyła jego żona jasność wielką, podeszła do okna i ujrzała całą stodołę w płomieniach. Pomimo energicznego ratunku straży pożarnych z gminy Piechoty, Przybyły, Padwi narodowej spaliło się cztery stodoły

napełnione zbożem. Rano dopiero zauważono na klepisku tuż za drzwiami, spalone zwłoki zapewne owego włóczęgi, który niespostrzeżenie dostał się przed wieczorem do stodoły i zasnął, a gospodarz go nie zauważył. W nocy obudził się, musiał świecić zapałki albo palić papierosy i spowodował ogień, bo ogień rozpoczął się z tej właśnie stodoły. Zwłoki były ogromnie popalone; nogi i ręce na popiół, z twarzy ani śladu, pozostał tylko tułów i czaszka. Wyjść nie mógł, bo stodoła była zamknięta, a chociaż może krzyczał z początku, to nikt nie słyszał, bo gdy ogień zauważono, już cała stodoła była w płomieniach. Tak to Bóg karze pijaństwo, gdy się miarka złego przebierze.

(J. L.) **Wściekły pies.** W przysiołku Smykle, należącym do gminy Knapy, w powiecie tarnobrzeskim, dnia 1 września pokąsał wściekły pies czworo ludzi i jednego konia. Ludzi odesłano do zakładu Dra Bujwida w Krakowie.

Wczesna Wielkanoc. Rok 1913 jest nadzwyczaj obfity w kalendarzowe nadzwyczajności. Zapusty przypadają już 4 lutego, jest to najwcześniejszy zapust XX-go stulecia. Podobny przypadek nastąpi dopiero w roku 2003, jeżeli nie nastąpi jaka zmiana. Wielkanoc przypada 23 marca. Wniebowstąpienie 1-go maja, Zielone Świątki 11-go maja.

(A. B.) **Pożar.** We wtorek dnia 10 września o godzinie wpół do 11 w nocy, wybuchł pożar u Jana Indeki, właściciela gruntu w Dolnych Czechowicach, który zniszczył doszczętnie plony tegoroczne. Ogień został podłożony zbrodniczą ręką w stodole. Zabudowania mieszkalne są nieuszkodzone. Smutnem jest to, że pomiędzy nami panuje ręka niewyśledzona, która nam tyle chleba z dymem puszcza. Oj, by taki człowiek przecież się namyślił i zaprzestał takie nieszczęścia sprowadzać. Szkoda obliczona 8000 kor. Ubezpieczone były stodoła i zbiory tegoroczne, zaś maszyny rolnicze nie.

Zgon wielkiego czeskiego poety. W zeszłym tygodniu zmarł w 60 roku życia sławny poeta czeski, Emil Frida, znany pod przybranem nazwiskiem Jarosława Vrchlickiego. Napisał on bardzo wiele prześlicznych książek wierszem; przekładał też na język czeski znakomite dzieła z obcych języków; między innemi przełożył poemat Mickiewicza »Dziady«. Był serdecznym przyjacielem naszego narodu i niejednokrotnie Polskę odwiedzał. W roku 1894 brał udział w zjeździe literatów polskich we Lwowie, oraz w uroczystościach Mickiewiczowskich w Krakowie. Polacy też zawsze z całą serdecznością zwracali się ku niemu.

Walka z przemytnikiem. W zeszłym tygodniu pewnej nocy chwycił graniczny żołnierz rumuński chłopa z Tyszowiec, na Bukowinie, przenoszącego przez graniczną rzekę Suczawę, z Rumunii, na stronę austryacką 50 klg. rodzynków i 12 klg. t. zw. »rabatu« (przysmak rumuński), a sprowadziwszy go do koszar, uwiadomił austryacką straż skarbową, ażeby sobie przemytnika wraz z kontrabandą zabrała. Wkrótce też rzeczywiście zjawiło się dwóch strażników i zabrało z sobą aresztowanego. Gdy znaleźli się z nim w ciemnym lesie nad rzeką, aresztowany wydobył nagle z zanadrza potężny nóż i rzucił się na strażników, raniąc jednego z nich dość ciężko w prawe ramię. Napadnięci w ten sposób strażnicy użyli broni i pokłuli przemytnika bagnetami do tego stopnia, że w dwie godziny później wyzionął ducha.

Sędziwy wiek. Najstarszą kobietą w W. Księstwie Poznańskiem jest wdowa Ludźkowska, mieszkająca w Witkowie. Liczy ona już 106 lat życia i jest jeszcze zupełnie zdrowa i krzepka.

Zakaz wróżenia. Saskie ministerstwo spraw wewnętrznych wydało reskrypt, według którego zajmowanie się wróżeniem nie może być uważane jako dozwolone, ponieważ obliczone jest ono na wprowadzenie w błąd osób udział biorących, i wykracza przeciwko dobrym obyczajom. Bardzo to słuszne zarządzenie powinno i u nas wejść w życie i w pierwszym rzędzie być skierowene przeciw cyganom, bałamucącym łatwowiernych ludzi swemi wróżbami, za które zarabiają znaczne nieraz pieniądze.

Zabójstwo polskiego emigranta. Z Berlina donoszą, że urzędnik administracyi klucza Jarocin ks. Radolina zastrzelił w sprzeczce robotnika, obieżysasa z Królestwa Polskiego, Orłowskiego.

Osobliwe samobójstwo. W Prusiech w pewnym lesie znaleziono trupa nieznanego mężczyzny, 26 lat liczącego, przyzwoicie ubranego. Głowa trupa, okrwawiona, spoczywała na pniu drzewa ściętego, wysokości 6 cali, obok zaś leżała na ziemi gruba belka, długości 3 łokci, do jednego zaś końca jej przywiązany był sznurek. Samobójca znalazłszy pień pomiędzy dwiema sosnami, przymocował do każdej z nich kij, następnie przywiązał nad jednym z kijów na wysokości 2 i pół łokcia koniec belki, do drugiego zaś końca jej przywiązał długi sznurek. Kiedy narzędzie śmierci było gotowe, nieznany mężczyzna położył się na ziemię, tak, że głowę miał na pniu i pociągnął za wolny koniec sznurka. Belka upadła i zmiażdżyła mu głowę.

Miłosierdzie wróbli. Na jednej z ulic Berlina, pewien uczony zobaczył wróbla, karmionego przez towarzyszy. Karmienie to zaciekawiło go bardzo, bo wróbel ów wcale nie wyglądał na pisklę, które zwykle rodzice karmią; zbliżył się do gromadki ptaszków i zaczął się jej przypatrywać. Wystraszone czemś ptaki zerwały się z ziemi, ale karmiony przez nich towarzysz nie frunął ze ziemi, tylko skakał tu i ówdzie i w końcu złapać się pozwolił. Pokazało się, że biedny wróbel był ślepy. Gdy go uczony puścił swobodnie, inne wróble zleciały się do niego i rozpoczęło się dalsze karmienie wróbla-kaleki.

Krwawa walka cyganów. Belgijskie miasteczko Rees, nad rzeką Renem, przed wiekami stanowiło najsłynniejszą twierdzę wodną i było jabłkiem niezgody między Francuzami, Hiszpanami a Holendrami. Niedawno temu rozległy się tam strzały i wojenne okrzyki. — Nie walczyli jednak Hiszpanie, ani Francuzi, ale dwie wrogie bandy cyganów, które spotkały się pod miastem.



Walka przybrała wszelkie cechy regularnej bitwy; po obu stronach były poważne straty w rannych. Powodem była piękna cyganka, którą cygan z drugiej bandy chciał porwać. Ciekawem jest, że i cyganki brały żywy udział w strzelaninie. Koniec cygańskiej bitwie położyła żandarmerya, odprowadziwszy przeciwników do więzienia.

Ze szkoły rosyjskiej. Włościanin Grzegorz Milszenkow, mający syna uczniem gimnazyum męskiego w Brześciu litewskim, przesłał na ręce dyrektora zawiadomienie o odebraniu swego syna ze szkoły, w którem obraził całe grono nauczycielskie. Pisał między innemi: U pana profesorowie przychodzą na wykłady częstokroć w stanie nietrzeźwym; udzielają uczniom korepetycyi z gwarancyą przejścia do klasy wyższej. Takich przykładów jeszcze mało... Rozsyłają listy do rodziców uczniów gimnazyum pańskiego z prośbą o pożyczkę 100 i więcej rubli, jak to się mówi, na wieczne nieoddanie... i pan znajduje za możliwe znoszenie tego wszystkiego?... Teraz zmuszony jestem syna swego, odebrać z murów pańskiego, niby to, naukowego, kształcącego, wychowawczego zakładu. O! jakże to ciężko dla ojca, nie mogącego się pogodzić z taką nieludzkością. Pan zamiast podania mu ręki w celu ratunku — popychasz go ku przepaści. O! oświato, oświato, o ludności prawosławna! gdzież ty? Sąd w Brześciu skazał Milszenkowa na — 10 rb. kary.

Za przekroczenie karności wojskowej. Podczas parady wojskowej w obecności cara pewien żołnierz wystąpił z szeregu i wręczył mu podanie. Wywołało to następujący rozkaz cara do ministra wojny: »Podczas gdy car na polu chodyńskiem przejeżdżał przed frontem, wydarzył się niesłychany wypadek, mianowicie jeden z żołnierzy wystąpił z szeregu, aby wręczyć cesarzowi podanie. Celem zapobieżenia powtórzeniu się podobnego wypadku w przyszłości, polecił car poczynić przedstawienia komendantowi XIII korpusu armii, dowódcy moskiewskiego okręgu wojskowego, dalej udzielić szefowi I. dywizyi nagany, komendantowi pułku ostrej nagany, dowódcy pierwszego batalionu odebrać komendę, a dowódcę kompanii wydalić«. Tyle kar spadło na dowódców za to, że żołnierz ośmielił się podać jakieś pismo carowi!

„Pijany budżet“. Taki przydomek otrzymał w dziennikach rosyjskich budżet państwowy z powodu udziału w nim sum monopolu wódczanego. W roku ubiegłym sprzedano w sklepach monopolowych 91,650.236 wiader wódki, o 2,107.789 wiader więcej, niż w roku 1910. Skarb otrzymał za wódkę 782,076.591 rubli. Czysty dochód wódczany obliczony został niemal na 600 milionów rubli. Całą armię lądową rosyjską można utrzymać z dochodu czystego od monopolu wódczanego i jeszcze zostanie sto milionów rubli na marynarkę.

Bunt w wojsku rosyjskiem. W Oranach, w gubernii wileńskiej, na Litwie, wybuchł bunt w załogującym tam pułku saperów. Żołnierze z bronią w ręku rzucili się na oficerów, by ich wymordować. Wezwano natychmiast pułk piechoty, który dał ognia do zbuntowanych. Wywiązała się dłuższa strzelanina, przyczem padli ranni i zabici. Liczba ich dotychczas nie stwierdzona. Na podstawie pierwszych wiadomości mówią o 120 zabitych i 200 rannych.

Osobliwy przysmak. Do pewnego lekarza rumuńskiego zgłosiła się przed kilku dniami pewna młoda kobieta, żaląc się na ogromne bóle żołądka. Lekarz, zbadawszy dokładnie chorą, stwierdził, iż w żołądku jej znajduje się jakieś ciało stałe, wielkości co najmniej dwóch pięści człowieka. Postanowiono dokonać operacyi. Po otwarciu żołądka okazało się, że istotnie znajduje się tam jakiś dziwny przedmiot, który, po oczyszczeniu, rozpoznano jako duży kłąb włosów. Kobieta, która obecnie powraca do zdrowia, zeznała, iż zwyczajem jej było wyrywać sobie włosy i połykać je. W ten sposób w żołądku nagromadził się wreszcie kłąb, który omal że nie przyprawił jej o utratę życia.

Smok w studni. W pewnej wsi rumuńskiej powstał między ludnością wielki popłoch. Przyczyną była kobieta, która opowiadała, iż we śnie miała widzenie, że w gminnej studni znajduje się okropny smok. Cała gmina zbiegła się przed dom naczelnika gminy z krzykiem i lamentem, domagając się, aby smoka jak najprędzej zabić. Wołano, aby studnię zasypać i w ten sposób smoka uśmiercić, to znów proponowano, aby dynamitem smoka wysadzić w powietrze. Ulegając naciskowi tłumu, zarząd gminny postanowił wypompować wodę ze studni, a potem smoka zastrzelić. Postanowienie to ogłosił wójt z okna domu gminnego. Cała wieś zabrała się do pracy. Przyniesiono pompy i w przeciągu pół godziny wypompowano wodę. Po dokonaniu tego, śmielsi chłopi spojrzeli w głąd studni i — nie zobaczyli nic, jeno mokre dno. Dopiero wtedy baby i chłopi odetchnęli.

Anioł pocieszenia. Na bezwzględne zaparcie się i stłumienia bolu własnego i trwogi śmiertelnej, gdy chodzi o dziecko, zdobyć się potrafi tylko matka. Dowodem tego wypadek, który wydarzył się niedawno w jednym z małych miasteczek włoskich. Ośmioletni chłopak, który skutkiem gwałtownego przestrachu postradał mowę, leżał od kilku tygodni w gorączce. Gdy noc nadchodziła, bredził i majaczył, wszelka opieka lekarska nie przynosiła polepszenia. Chłopak bladł, chudł, a śmierć z każdym dniem znaczyła na nim swoje straszne ślady. Matka, która już poprzednio utraciła w jednym miesiącu męża i pięcioro dzieci, patrzyła z rozpaczą na ostatniego syna, a obłęd bliski objawiał się w śmiechu, którym wybuchała od czasu do czasu, bez przyczyny. Chwilami znowu rzucała się lekarzom do stóp, prosząc wśród płaczu i męki nieutulonej, ażeby zlitowali się nad nią i jej dzieckiem ostatniem, ażeby mu przynajmniej ukrócili mąk.



Wówczas wyraził się jeden z lekarzy, że ratunek dziecka byłby możliwy tylko w razie jakiegoś nadzwyczajnego wypadku — naprzykład, gdyby ktoś zdołał wyrwać chorego z jego dotychczasowego stanu, gdyby zdołał go rozradować tak — żeby zapomniał zupełnie o wszystkiem. Zrozpaczona matka postanowiła chwycić się tego ostatniego środka. Przebrała się w strój błazeński — i tańcząc, wykonywać poczęła dziwaczne a śmieszne ruchy. Choć w oczach tlił niewypowiedziany ból, choć serce rwała niepewność, tańczyła bez przerwy przy dźwięku dzwonków błazeńskich. Chłopak wpatrywał się z wytężeniem w tę dziwną, kolorową postać i nagle uśmiech zakwitł na jego wargach. Zapomniał o lęku i bolu — i począł klaskać radośnie drobnemi rączętami. Był ocalony. Lecz równocześnie matka — anioł pocieszenia — skutkiem nadmiernego zdenerwowania, poczęła słabnąć. I gdy w kilka tygodni syn przyszedł do zdrowia, matka dogorywała na łożu śmiertelnem.

Wojna o Trypolis i... policzek. Wielce ciekawy i charakterystyczny proces rozegrał się przed kilku dniami w Lecino, w Włoszech, tem ciekawszy, że powodem procesu było prowadzenie przez Włochy wojny o Trypolis. Oto służący hotelowy, Niemiec, pochodzący z Frankfurtu nad Menem, nazwiskiem Wiemer, miał od pewnego czasu zwyczaj szczuć wśród swych współkolegów przeciw Włochom, zwłaszcza zaś przeciw prowadzeniu z Turcyą wojny w Trypolisie. Wycieczki jego przeciw Włochom przebrały pewnego razu zwykłą miarę i inny służący hotelowy, rodem Włoch, wymierzył Niemcowi siarczysty policzek. Publiczność ciekawa była niezmiernie, jak ową sprawę rozstrzygnie sędzia, w duszy zaś z góry rozgrzeszała już swego rodaka. Jakoż sędzia uniewinnił Włocha, koszta zaś rozprawy złożył na barki Niemca. Publiczność powitała wyrok z zapałem.

Przeciw Niemcom. Rząd francuski przedłoży niebawem parlamentowi wniosek o osobne oznaczenie towarów, dowożonych z Niemiec do Franayi, napisem »zrobione w Niemczech«. Przepis taki istnieje już w Anglii i przyczynia się do usuwania towarów niemieckich, gdyż żaden szanujący się Anglik nie kupuje tandety niemieckiej. Jeżeli i we Francyi przejdzie wniosek rządowy, natenczas przemysł niemiecki , skazany na wywóz za zagranicę, poniesie cios bardzo dotkliwy. Fabrykanci niemieccy będą musieli ratować się przez wywóz do Królestwa i Galicyi, gdzie, niestety, dużo towaru niemieckiego znajduje zbyt, choć wiele przedmiotów u nas w kraju już wyrabiają.

Olbrzymi grzyb. W pewnym lesie we Francyi znaleziono grzyb olbrzymich rozmiarów: średnica jego kapelusza w jednym kierunku wynosi 42 cm., w drugim 35 cm., obwód 1 m. 17 cm.; obwód trzona 42 cm.; waga 5 kilogramów. Nawet jeden taki grzyb w barszcz byłoby za wiele!

Wyznanie przedśmiertne socyalisty. Pewien wybitny działacz socyalistyczny francuski, odbierając sobie w Paryżu życie, pozostawił list, w którym na końcu skreślił następujące uwagi: »Umieram, bom doznał zawodu w wielu rzeczach. W socyalizmie, w którym przeżyłem ostatnie swoje lata i który dokładnie poznałem, dzieją się najohydniejsze rzeczy. Nie miałem dostatecznej odwagi, by z nim zerwać i dlatego zostałem pogrążony w tej kałuży. Gdybym nie musiał tak fatalnie kończyć życia, pragnąłbym zostać katolikiem. Taka jest moja ostatnia myśl przedśmiertna«.

Pozorna śmierć. Niedawno temu zmarła w Anglii niejaka pani King, cierpiąca już od dłuższego czasu na suchoty. Ułożono ją w trumnie i wystawiono w pokoju bawialnym jej mieszkania, aby następnego dnia pogrzebać. W nocy jednak brat zmarłej, spoczywający w sąsiednim pokoju, usłyszawszy westchnienie w pokoju zmarłej, wszedł tam i ujrzał przerażony siostrę, siedzącą w trumnie. Chorą przeniesiono natychmiast do łóżka i przywołano lekarza. Ale po dwu dniach życia znów zmarła, tym razem naprawdę.

W szale gniewu. W miasteczku hiszpańskiem Olivarez, zdarzył się w tych dniach straszny wypadek. Robotnik Manuel Villar wszczął kłótnię z żoną i, wpadłszy w szał, chciał ją udusić. Nieszczęśliwa kobieta wyrwała się jednak z rąk szaleńcowi i pobiegła z trojgiem dzieci w pole. Villar puścił się za nią w pogoń, wobec czego goniona, nie mając innego wyjścia, wpadła do krytej słomą szopy i tam zabarykadowała się z dziećmi. Villar usiłował wyważyć drzwi, a gdy mu się to nie udało, podpalił strzechę i, usiadłszy w polu, przyglądał się spokojnie pożarowi. Zwabieni wreszcie widokiem płomieni i krzykami, przechodzący opodal drogą włościanie nadbiegli z pomocą i zaczęli szopę rozwalać. Ratunek jednak okazał się spóźniony. Nieszczęśliwa matka i jej dzieci zginęły w płomieniach. Villara oczywiście zaraz aresztowano.

Ciemnota Arabów. W pewnem miasteczku arabskiem, Arabowie zastrzelili swojego współwyznawcę Rautiego, w chwili, gdy zapalał papierosa wbrew przepisom Koranu, t. j. mahometańskiej księgi świętej, która nakazuje muzułmanom podczas wielkiego postu Ramazan wstrzymać się od wschodu do zachodu słońca od jedzenia, picia i palenia. Arabowie chcieli również spalić dom Rautiego wraz z jego rodziną, policya jednak temu zapobiegła.

Straszna przygoda z wężem. W indyjskiem mieście Kalkuta, miało miejsce niedawno wstrząsające zdarzenie. Wysoki, angielski urzędnik państwowy wydał w swojej willi wielką ucztę. Po dobrym obiedzie zażądali podochoceni goście, aby im gospodyni pokazała swoje dziecko. Rozpromieniona tem matka chciała początkowo żądaniom gości uczynić zadość, gdy nagle przypomniała sobie, że dziewczynka śpi. Poczęła się więc wymawiać, skoro jednakże goście coraz natarczywiej domagali się spełnienia ich prośby, zgodziła się pod warunkiem, że będą się zachowywać cicho, ażeby dziecka nie zbudzić.



Z hałasem, wesołą wrzawą i śmiechem, przyjęto pozwolenie, a następnie całe towarzystwo ruszyło do pokoju dziecinnego. Któryś z gości podniósł zwisającą u drzwi portyerę — spojrzał ciekawie w głąb — i nagle zadrżał i zbladł. Za wzrokiem jego poszło towarzystwo całe i nagle rozbawiony tłum zamilkł; uśmiechy zastygły na ustach. Okropny widok przedstawił się oczom przed chwilą rozbawionych ludzi. Obok łóżka na gałęzi, która wisiała dla zabawy dziecka, owinięty długiemi, miedzianemi skręty, wyciągał płaską głowę potężny wąż. Błyszczącemi ślepiami wpatrywał się w uśpione dziecko i z sykiem zbliżał się do jego szyi. Zdawało się, że dla dziecka niema już ratunku. Gdy nagle ojciec, pochwycił jakąś trzcinę i rzucił się zrozpaczony, uderzając na oślep raz, drugi i trzeci. Cicho, bez szelestu, zsunął się nieżywy wąż na ziemię. Dziecko było ocalone.

Coraz wyżej i wyżej! Pomiędzy inżynierami nowojorskimi panuje zacięte współzawodnictwo co do wysokości projektowanych przez nich budowli. Olbrzymie budynki, tak zwane drapacze nieba, pną się też coraz to wyżej ku gwiazdom.

Tymi czasy ukończono na Broadway (główna ulica Nowego Jorku) budowlę o pięćdziesięciu piętrach. Wysokość gmachu wynosi 780 stóp czyli 250 m., a koszta wybudowania doszły sumy 67 i pół miliona franków. Kapitał ten będzie się jednak oprocentowywał i to wcale nieźle, gdyż dochód z czynszów ma wynosić 12 i pół miliona franków,

Złodziej prokuratorem. Niejaki Jennings, dawniej złodziej, operujący na kolejach amerykańskich, został obrany przez ludność jednego z okręgów w Stanie Oklahoma, prokuratorem okręgowym. Przed ośmiu laty Jennings został za kradzieże w wagonach kolejowych skazany na 10 lat więzienia. Po trzechletniem uwięzieniu prezydent Roseevelt ułaskawił go, a obecnie współobywatele powierzyli mu odpowiedzialny urząd. Jennings zdobył podobno sympatye ziomków przez ładne opowiadanie swych przygód. W swej »wielkiej mòwie« podczas wyborów również przytoczył cały szereg ciekawych opowiadań z życia różnego rodzaju awanturników i zakończył przemówienie w ten sposób: »Co do mnie, zostałem schwytany. Obecną ambicyą moją jest do wieść, iż mogę być również uczciwym urzędnikiem. Złodziej kolejowy, który porzucił swe rzemiosło i ustatkował się, wart jest więcej od funkcyonaryusza, który pod pozorem uczciwości okrada swój naród«.

Straszna przepowiednia. W pewnej miejścowości w Meksyku środkowym, w Ameryce, zjawił się niejaki Cesario Garcia, przepowiadający, że miasto, znajdujące się zresztą śród gór, w okolicy, w której przed laty było trzęsienie ziemi, zniszczone będzie przez nowe trzęsienie ziemi, a następnie pochłonięte przez ogień podziemny. Przepowiednia ta złowróżbna tak przeraziła ludność miasta, liczącego około 150 tysięcy mieszkańców, że większość opuściła miasto, inni zaś modlą się tłumnie na ulicach, popadłszy w istny szał strachu. Policya uwięziła Garcię, ale zwolennicy Proroka rozbili więzienie i uwolnili go.

Cesarz japoński i nieśmiały minister. O zmarłym cesarzu Mutsahito zamieszczają pisma angielskie następującą wesołą historyjkę: Wszyscy ministrowie, z wyjątkiem wielkiego markiza, w obecności cesarza tracili zupełnie zimną krew. Zwłaszcza minister spraw wewnętrznych markiz Matsugata, tak był zawsze wobec cesarza zmieszany, że na wszystkie pytania, jakie cesarz do niego wystosowywał, odpowiadał jednakowo: »Wasza wysokość, każę tę sprawę najskrupulatniej zbadać. Pewnego razu cesarz, rzuciwszy znaczące spojrzenie na stojących z boku ministrów, zwrócił się nagle do Mutsugaty z zapytaniem: »Markizie, ile pan właściwie ma dzieci? Markiz, zaambarasowany, jak zawsze, odpowiedział natychmiast: »Wasza Wysokość, każę tę sprawę najskrupulatniej zbadać:« Oczywiście cesarz i ministrowie wybuchnęli śmiechem.

Banki w starożytnym Babilonie. Dotychczas utrzymywano, że instytucya banków wynaleziona została przez Włochów w VII stuleciu. Świeżo pewien profesor berliński podczas poszukiwań naukowych w Azyi, natrafił w świątyni Baala w Nippur na archiwa dwóch instytucyj bankowych, istniejących w starożytnym Babylonie pod firmą: Egibi i Syn i Muraszu i Syn. Oczywiście archiwa te nie są podobne do nowoczesnych urządzeń biurowych. Zapiski robiono na glinianych tabliczkach, którymi posługiwano się także do wystawiania czeków. Podpisy dawano za pomocą pieczęci lub odcisku paznokcia wielkiego palca.

Co który naród pije? Na zarzuty, zwłaszcza pruskich pism, które nieraz głoszą, że Polacy są największymi pijakami, odpowiada dowcipnie jeden dziennikarz polski z pod zaboru pruskiego: Będąc w Niemczech, widziałem, że rzecz zaraźliwa patrzyć, jak Niemiec spełnia kufle pełne piwa, Francuz przy karafince rodzimego wina też chętnie o trzeźwości mierze zapomina. Takoż nie ma co mówić o trzeźwości Włocha, który się w swej »Barletce« lub »Chianti« kocha. Czech, choć mu także wino i niezłe dojrzewa, przecie brzuszyszko chętnie pilznerem zalewa. Portugalczyk portwajny i madeiry grzeje, a Grek znowu małmazye słodkie w siebie leje. Tatar się »Katechyńskiem« orzeźwia, gdy łaknie, Szwabowi też »reńskiego«, gdy chce pić, nie zbraknie. Węgrowi w głowie tylko czerwona słonina, salami i dzbanuszek jaki taki wina, chociażby butelczyna maślacza, tokaja. »Englishman« zwykłym rumem chętnie się rozpaja, Serb dudla śliwowicę, Szwedów nie wyłączę, którzy na śmierć i życie swoje piją poncze. Norwegczyk — hipokryta, gdy pić wzbrania prawo, najpospolitszą »charę« z czarną pije kawą. Belgus smacznym likierem zwykł zalewać pałę, »Russkij« w siebie bez miary leje wciąż gorzałę. Japończyk się »raki« rozgrzewa do pracy, ale kto jest pijakiem! — Rzecz prosta: Polacy!

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Józef Jarmuła w Z: Za nadesłane prace serdecznie dziękujemy i łączymy wzajemne pozdrowienia. — Józef Kobylański w C.: Dziękujemy — dobre. — Walenty Pasierb w Cz.: Dziękujemy za pamięć. — Marya Lamerówna w Cz.: W wierszykach jest polot i myśl zacna, wobec czego dalsze próby mogą być zupełnie dobre. Może być, że i nadesłane z czasem umieścimy. Za słowa pełne życzliwości jesteśmy szczerze wdzięczni. Łaczymy pozdrowienia od siebie i »kochanego« Maćka Bzdury. — Józef Bujarski w M.: Obrazkowy Kalendarz »Roli« osobno kosztuje 1·20 K., jeżeli zaś przyszle Pan 4 K. 50 h. jako prenumeratę na rok 1913 otrzyma Pan odwrotnie Kalendarz na 1913 r. opłatnie i bez żadnej innej dopłaty. Zdzisław Grabski w L.: Numera »Roli« od poazątku są i po przesłaniu prenumeraty od Nowego Roku 1912 wyślemy je. — Michał Górak w G.: Zamówienie odesłaliśmy do ks. Borodzicza. — Józef Orzechowicz w S.: Na kredyt z zasady nie wysyłamy. O listy z Argentyny prosimy — jeżeli będą ciekawe, chętnie je wydrukujemy. Stanisław Czaja w Szcz.: Posiadamy i po otrzymaniu 1 Kor. wyślemy. — Jan Śnieg w Szcz.: Okładki na 1912 r. mamy po 50 hal. Jan Małkowicz w G.: Osobnych odbitek tej powieści nie mamy, aje można jeszcze nabyć cały oprawny rocznik »Roli«. — Michał Szelest w T.: Gdybyśmy chcieli każdy odpust opisać, zbyt dużoby to miejsca zajęło. — Antoni Beczała w Cz.: Nic się nie należy.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Teodor Ramęda z Ch. 1·30 K. — Jan Pagac z Z. 2 K., Andrzej Urbanik z G. 1 K. — Kazimierz Stańczyk z T. 1 K. — Andrzej Węglarz z S. 2 K. — Michał Świętalski z W. 4·50 K. — Zygmunt Tymański z S. 1 K. — Marcin Honkisz z N. 2 K. — Józef Maż z M. 1 K. — Władysław Słabosz z B. 1 K. — Adam Samołok z Z. 1 K. — Błażej Ciaciek z B. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 17 września:

Pszenica	Kor.	10·60	do	10·95	za 50 kg.
Żyto	„	9·25	„	9·90	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·75	„
Owies	„	9·—	„	9·40	„
Otręby pszenne	„	6·55	„	6·65	„
Otręby żytnie	„	6·10	„	6·30	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 17 września:

Buhaje	Kor.	215	do	400	za sztukę
Woły	„	300	„	480	„
Krowy	„	150	„	320	„
Jałówki	„	120	„	288	„
Cielęta	„	30	„	100	„
Owce i kozy		20	„	30	„
Świnie bita waga)	„	160	„	180	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA krzyżywa.

(Ułożył Ludwik Cholewa).

			a	a	a			
			b	a	b			
			d	d	d			
e	e	f	f	i	i	ł	ł	m
n	n	n	n	o	o	p	p	r
r	r	r	r	r	s	t	t	y
			y	y	y			
			w	w	z			
			z	o	o			

1. Imię męzkie.
2. Inaczej zalety.
3. Imię męzkie.

2. ZAGADKA.

(Ułożył »Górnik«).

Zasiadałem ja na tronie,
Lecz już dawno po mym zgonie;
Bez ogona niszcząc plony
Sieję zgrozę na wsze strony,
Co napotkam, wszystko ginie,
Chata, most, gdy się nawinie,
Lecz gdy głowę mi utniecie,
Wtedy mię z łatwością zjecie.

3. ZAGADKA

(Ułożył »Górnik«).

Wojciechowi Kurce zmarło troje dzieci,
Światłość wiekuista niech ich duszom świeci!
Więc im na cmentarzu kazał pomnik zrobić
I następującym napisem ozdobić:
»Biedne moje dzieci, zmarłe w kwiecie wieku,
Więc chociaż »Ojcze nasz« zmów za nie czło-
[wieku!
Dwadzieścia sześć wiosen naliczyli razem,
Nim sobie spoczęli pod tak zimnym głazem,
Drugi od pierwszego starszy był trzy razy,
Trzeci od drugiego znowu tyleż razy,
By pierwszy i drugi pięć lat jeszcze żyli,
To wieku starszego razemby dożyli,
Lecz ich Bóg Wszechmocny wczas powołał
[sobie,
Więc ja, ojciec, smutny, łzy leję na grobie«.

*

Ile każdy liczył wiosen,
Gdy sobie legł w cieniu sosen?

4. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożyl »Górnik«).

Jacenty Zondoszen

Który kraj zamieszkuje ta osoba?

5. ZAGADKA.

(Ułożył J n Małkowicz).

Wprost to zwierz ludzie go posiadają,
Wspak myśliwi często urządzają.

6. ZAGADKA.

(Ułożyła A. Solkowska).

Jest to roślina
Zbyt dobrze znana,
W obydwie strony
Jednako czytana.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 28 września 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 36 »Roli«: 1. Szarada: **Szarada.** 2. Logogryf: **Syty głodnemu nie wierzy.** 3. Szarada: **Niedola.** 4. Szarada: **Turban.** 5. Szarada: **Solawa.** 6. Łamigłówka Rachunkowa: **Pierwszy miał trzy owce, drugi pięć.**

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Walenty Pasierb z Cz. (wierszem), Jan Stekuła z B., Koło Macierzy szkol. z St., Arkadyusz Szarek z S. W., Michał Plinta z D., Jan Małkowicz z G. (wierszem), Stanisław Czaja z Szcz., Zofia Oraczewska z Ż., Józefa Hirszberg z K., Józef Adamczyk z S. W., Mieczysław Ciepielowski z S., Władysław Sioło z K., Janina Midowicz z S., Karol Baron z P.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z dni krwi i chwały*** wylosował p **Michał Plinta** z D., zaś drugą p. t. ***Na rozdrożu*** p. **Jan Stekuła** z B.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.